

TADEUSZ DOŁĘGA-
MOSTOWICZ

PAMIĘTNIK PANI HANKI

Tadeusz Dołęga-Mostowicz

Pamiętnik pani Hanki

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843114

Pamiętnik pani Hanki:

Аннотация

Przeczytanie korespondencji męża bez jego wiedzy jest niewątpliwie złamaniem zasad dobrego wychowania... Ale jeśli tylko dzięki takiemu przypadkowemu zwycięstwu występnej ciekawości można uratować własną reputację, małżeństwo, a może nawet Polskę? Wówczas brzydki postępek znika w cieniu cichego heroizmu. Wydany w przededniu II wojny światowej Pamiętnik pani Hanki (1939) Tadeusza Dołęgi-Mostowicza wykorzystuje konwencję publikacji rzekomo cudzego tekstu z własnymi komentarzami. Powieść przynosi niepozbawiony humor i wdzięku (oraz dystansu do samego siebie) wizerunek przedwojennej Warszawy i życia śmietanki towarzyskiej II RP. Czytelnik wkracza w ten świat, idąc śladem autorki pamiętnika, dwudziestoparoletniej, nieco trzpiotowatej żony polskiego dyplomaty, Hanki Renowickiej. Tajemnicza afera szpiegowska, komentowane w salonach i kawiarniach wzmianki o niepokojących posunięciach politycznych Niemiec oraz kilka rzeczywistych osób, pojawiających się „osobiście”, w domyśle lub choćby z nazwiska – to wszystko stanowi o kolorystyce epoki. Ale najcenniejsza może jest warstwa obyczajowa. Dowiedzieć się można na przykład, jaką ulgą dla dziewczyny z tzw. dobrego domu jest... wyjść z niego wreszcie.

Wyznania pani Hanki pokazują też, że nawet jeśli dama spotyka się niekiedy z innymi mężczyznami bez wiedzy męża, może to robić wyłącznie dla jego dobra. I myśleć o tym inaczej to zwykłe prostactwo.

Содержание

Mój pamiętnik	6
Wtorek	7
Środa	21
Czwartek	35
Piątek	36
Sobota	47
Niedziela	60
Wtorek	88
Środa	104
Czwartek	109
Wtorek	110
Środa	126
Конец ознакомительного фрагмента.	129

Tadeusz Dołęga-Mostowicz

Pamiętnik pani Hanki

Oddając go w ręce czytelnika pragnę zaznaczyć, że najwyższą zaletą pamiętnika jest zdumiewająca jego szczerość, szczerość, której nie zdołali osiągnąć nawet tak wielcy pamiętnikarze jak – *toute proportion gardée*¹ – Jan Jakub Rousseau². Pani Renowicka wprawdzie nie występuje tu pod prawdziwym nazwiskiem, użyty jednak pseudonim nie zdoła ukryć jej osoby przed domyślnością ludzką. Osoba jej jest zbyt dobrze znana w niektórych sferach i przez nie niewątpliwie zostanie rozpoznana, wziąwszy pod uwagę choćby to, że wypadki i ludzie, o których chodzi, dla nikogo nie są tajemnicami.

Spełniwszy w tych kilku zdaniach obowiązek prezentacji, oddaję głos p. Renowickiej.

¹ *toute proportion gardée* (fr.) – zachowując wszelkie proporcje. [przypis edytorski]

² *Rousseau, Jan Jakub* – właśc. Jean-Jacques Rousseau (1712–1778), genewski pisarz i filozof tworzący w jęz. fr., wybitny przedstawiciel oświecenia, encyklopedysta; autor m.in. traktatu *Umowa społeczna* zawierającego demokratyczną wizję państwa; poematu dydaktycznego o wychowywaniu w zgodzie z naturą zatytułowanego *Emil* oraz autobiograficznych *Wyznań* stanowiących jeden z fundamentalnych utworów literatury intymnej. [przypis edytorski]

Mój pamiętnik

Mój Boże! Któraż z nas kobiet nie jest najgłębiej przekonana, że jej osobiste przeżycia, jej myśli i uczucia są czymś tak oryginalnym i fascynującym, że zasługują na druk. Szczęściem jest móc podzielić się z wszystkimi ludźmi na świecie swoimi tajemnicami, poruszyć ich serca, czuć wokół siebie ciepłą reakcję tych tysięcy dusz podobnie odczuwających jak ja. Do tego dodać trzeba świadomość, że zwierzenia takie mogą być pożyteczne dla wielu, wielu kobiet, które mogą się znaleźć w zbliżonych sytuacjach i, poznawszy już moje doświadczenie, mądrzej i lepiej potrafią z nich wyjść.

To wszystko, co chcę opisać, zaczęło się w pierwszych dniach stycznia. Zaraz po Nowym Roku. Jak dziś pamiętam, był to —

Wtorek

Od rana dręczyły mnie złe przeczucia. Wspomniałam nawet o tym Tuli, gdyśmy się o dwunastej spotkały w „Simie”. Nie zwróciłam nawet na to uwagi, że miała fatalnie dobraną woalkę do kapelusza. Jacek nie odesłał mi samochodu i wszystkie sprawunki musiałam załatwiać taksówką. Gdy wróciłam do domu, było już oczywiście po czwartej. Nie miałam wątpliwości, że Jacek zjadł obiad beze mnie, i po to właśnie weszłam do jego gabinetu, by mu z tego powodu zrobić lekką wymówkę. W ostatnich czasach, mówiąc ściśle od Bożego Narodzenia, stał się mniej uważny i mniej delikatny niż dawniej. Zdaje się, że trapiły go jakieś zmartwienia.

Jacka w gabinecie nie było. Jego bonżurka³ leżała nietknięta na brzegu tapczanu. Nie był na obiedzie, nie wrócił jeszcze z konferencji. Właśnie konstatowałam to w myśli, gdy mój wzrok zatrzymał się na biurku. Leżała tam nietknięta popołudniowa korespondencja. Machinalnie wzięłam ją do ręki.

Proszę mi wierzyć, że nigdy nie otwieram listów męża, od czasu, gdy mi się rozdarła koperta, i to w tak fatalny sposób, że Jacek to zauważył. Nie powiedział wówczas ani słowa, lecz wstyd mi było bardzo. Mógł mnie przecież posądzić, że go śledzę, że go

³ *bonżurka* (z fr. *bonjour*: dzień dobry) – daw. poranny ubiór męski, rodzaj luźnej marynarki z miękkiej tkaniny a. eleganckiego krótkiego szlafroka z kołnierzem, mankietami, przewiązywanego w pasie. [przypis edytorski]

podejrzewam o zdradę i że w ogóle zdolna jestem do brzydkich postępów.

Tym jednak razem postanowiłam złamać swoje zasady. Błogosławię tę decyzję, gdyż postąpiłam słusznie.

Był to list w długiej, eleganckiej kopercie, zaadresowany dużym, eleganckim pismem. Nosił stempel warszawski. Gdyby nawet koperta nie pachniała dobrymi perfumami, od razu poznałabym, że jest to list kobiecy.

Nigdy nie byłam zazdrosna i brzydzę się tym uczuciem. Rozsądek jednak nakazywał mi poznać niebezpieczeństwo, które mi grozi, a o którym ostrzegła mnie moja niezawodna intuicja. Zachowując wszystkie ostrożności odkleiłam kopertę. List był krótki. Brzmiał, jak następuje:

Mój Drogi!

Przeczytałam uważnie Twoje argumenty. Może i przekonałyby mnie, gdyby nie wchodziły tu w grę uczucia. Przecież dlatego tu przyjechałam, dlatego szukałam Cię, że Cię zapomnieć nie mogę.

Ja również nie chcę skandalu. Nie zależy mi na tym, by zobaczyć Cię za kratkami więziennymi. Ale nie mam też ani zamiaru, ani najmniejszej ochoty wyrzekać się męża.

Być może, nie postąpiłam wówczas ładnie, opuszczając Cię bez pożegnania, ale tak, jak Ci pisałam w pierwszym liście, skłoniły mnie do tego okoliczności niezwyklej wagi. Wprawdzie używam teraz swego panieńskiego nazwiska, nie zmienia to jednak faktu, że jestem Twoją żoną i że, mówiąc po prostu, popełniłeś bigamię, żeniąc się z Twoją

obecną towarzyszką. To są zbyt poważne kwestie, byśmy je mieli roztrząsać listownie. Toteż proszę Cię, byś mnie odwiedził w hotelu. Będę na Ciebie czekała między godziną 11 a 12 jutro rano.

Zawsze, a przynajmniej znowu

Twoja B.

Przeczytałam ten list niezliczoną ilość razy. Czyż trzeba dodawać, że byłam wstrząśnięta, że byłam nieprzytomna, że byłam zdruzgotana! W trzy lata po ślubie dowiedzieć się, że się zostało haniebnie oszukaną, że mój mąż nie jest moim mężem, a ja nie jestem jego żoną, że człowiek, z którym mieszkałam pod jednym dachem, lada chwila może znaleźć się w więzieniu, że tylko od kaprysu jakiejś wstrętnej baby zależeć może mój dom, moja opinia, moja pozycja towarzyska!... To przecie straszne!

Sporo minęło czasu, zanim oprzytomniałam o tyle, że zdołałam zebrać dość uwagi, by starannie zakleić list. Sama nie wiedziałam, co począć. W pierwszej chwili chciałam jechać szukać Jacka i zażądać od niego tłumaczeń, potem przyszło mi do głowy, by natychmiast spakować swoje rzeczy i przenieść się do rodziców, zostawiając resztę na głowie ojca, wreszcie zatelefonowałam do mamy, na szczęście jednak ugryzłam się w język i nie powiedziałam jej ani słowa o moim tragicznym odkryciu.

Ach, jakże samotnie czułam się na świecie! Nie miałam nikogo, dosłownie nikogo, przed kim mogłabym wypłakać się teraz, do kogo mogłabym się zwrócić o radę. Żadna z

moich przyjaciółek nie potrafiłaby utrzymać języka za zębami i nazajutrz cała Warszawa trzęsłaby się od plotek. Pozostawał Toto.

Oczywiście mogłabym mu zaufać pod każdym względem. Jest najprawdziwszym dżentelmenem. Ale cóż on mi tu pomóc może? I tyle razy mówił mi, że nie powinniśmy się wzajemnie obarczać naszymi troskami. Zapewne, jest to trochę egoistyczne z jego strony, ale zupełnie słuszne. Nie, nie wspomnę mu ani słowem. Zresztą spaliłabym się ze wstydu. Z moich dawnych dobrych przyjaciół, którzy mogliby mi poradzić, też nikogo nie było w Warszawie. Maryś Walentynowicz malował i polował gdzieś w Kanadzie, Jerzy Zalewski nudził się w Genewie, d'Aumerville miał właśnie urlop, a Dołęga-Mostowicz siedział na wsi.

Cieszę się, że pani Renowicka zalicza mnie do swych dawnych przyjaciół. Dla uniknięcia jednak wszelkich nieporozumień i sugestii, które mogłyby się nasunąć Czytelnikowi, zaznaczam, że przyjaźń nasza, aczkolwiek istotnie dawna, gdyż datująca się od czasu, gdy p. Hanka zaledwie ukończyła gimnazjum, miała zawsze podkład niejako braterski. W styczniu 1938 roku istotnie bawiłem na wsi i o nieszczęściu, które spadło na dom państwa Renowickich, dowiedziałem się znacznie później. (Przypisek T. D. M.)

Oczywiście nie poszłam na fajf⁴ do Dubieńskich, chociaż

⁴ *fajf* (z ang.) – stałe popołudniowe spotkania w prywatnych domach, daw.

przysłali mi nową suknię, w której mi wyjątkowo do twarzy. Trzeba ją będzie tylko skrócić. Niewiele. O jakieś pół palca. Mój Boże! Byłaby to pierwsza w Warszawie suknia paryska w tym karnawale. W piątek na pewno już panie z ambasady francuskiej pokażą się w nowych modelach. Od pewnego czasu prześladowe mnie pech.

Wreszcie postanowiłam nic nie robić i czekać na powrót Jacka. Nie wiedziałam jeszcze, czy zażądam od niego wyjaśnień. Stokroć wołałabym, by mi ich sam udzielił. Przecież zawsze był ze mną otwarty. W ogóle nigdy nic nie miałam mu do zarzucenia. Pobraliśmy się przecież z miłości i wiem, że do dziś dnia nie przestał mnie kochać.

Wprawdzie mama twierdzi, że Jacek mnie zaniedbuje, ale przecie jego kariera wymaga tych ustawicznych wyjazdów, posiedzeń i misji. Wiem, że zawsze o mnie pamięta, nie pomija żadnej sposobności, by to podkreślić. Dałabym głowę, że nie ma żadnej kochanki, że na pewno mnie nie zdradza. I teraz nagle dowiaduję się, że przede mną miał inną żonę!

Po długich rozważaniach doszłam do przekonania, że musi tu kryć się jakaś tajemnica lub wręcz mistyfikacja. Jacek – z jego solidnością, z jego opinią, z jego zasadami – i bigamia! To jest nie do pomyślenia! Pod wpływem tych refleksji uspokoiłam się nieco. Autorka owego listu mogła być po prostu jakąś wariatką czy szantażystką. I zresztą kiedy Jacek miałby czas się z nią ożenić? Przecież wuj go zabrał za granicę zaraz po maturze i

przez cztery lata studiów w Oksfordzie Jacek ani razu nie był w kraju. Autorka listu nie jest żadną cudzoziemką, gdyż zbyt dobrze pisze po polsku. Więc kiedy?...

Im dłużej nad tym zastanawiałam się, tym byłam pewniejsza, że chodzi tu o pomyłkę lub o mistyfikację. Byłam przekonana, że lada chwila wróci Jacek, otworzy list, roześmieje się, wzruszy ramionami i powie mi: „Patrz, Haneczko, jaką zabawną rzecz otrzymałem!”.

Stało się jednak inaczej.

Jacek wrócił o ósmej. Przywitał się ze mną ze zwykłą serdecznością, przeprosił, że nie był na obiedzie, lecz zdawał się nie zwrócić uwagi na to, że mu zakomunikowałam, iż również jestem bez obiadu. Miał cokolwiek zmęczony wyraz twarzy i smutne oczy. Potem wszedł do gabinetu. Miałam wielką ochotę wejść tam za nim, lecz rozumiałam, że należy czekać go tutaj, w salonie. Wyszedł dopiero po godzinie. Z jego rysów nic nie można było wyczytać. Usiadł przy mnie, a gdy dotknął ręką mojej, zrobił to ze zwykłym spokojem. Udając zupełną swobodę, zapytałam bez nacisku:

– Czy czytałeś już listy?

– Tak – skinął głową. – Nic ważnego. Ludka za tydzień wyjeżdża do Algieru, a ambasador przesyła dla ciebie ukłony.

Serce ścisnęło mi się w piersi. Starając się panować nad sobą, by głos mi nie zadrżał, zauważyłam:

– Zdawało mi się, że otrzymałeś jakąś przykrą wiadomość, która cię zmartwiła...

Spojrzałam mu wprost w oczy, a on uśmiechnął się z tak szczerym zdziwieniem, że aż nie wierzyłam sama sobie. Nie darmo mówią, że Jacek jest urodzonym dyplomata. Gdyby mnie zdradzał, jestem przekonana, że nigdy bym tego poznać po nim nie umiała. Jak on potrafi się maskować.

– Wprost przeciwnie – odpowiedział. – Raczej mam dobrą. Mianowicie w poselstwie bułgarskim odwołano obiad i będę mógł cały wieczór spędzić z tobą.

Nie był to wieczór miły, chociaż Jacek robił wszystko, by mi sprawić przyjemność. Świadomość, że między nami legła jego straszna tajemnica, nie opuszczała mnie ani na chwilę. Dodawało mi sił tylko to, że czułam nad nim przewagę. On nie mógł się domyślać, że wiem o istnieniu jego pierwszej żony. Miałam w rękę atut, który w każdej chwili mógł spaść na jego głowę jak cios nieodparty. Zdawał się go zupełnie nie spodziewać. Wpatrywałam się weń, usiłując odgadnąć jego myśli.

Teraz dopiero przypomniałam sobie szereg szczegółów, na które w ciągu ostatnich dni nie zwracałam uwagi, a które były przecież zastanawiające.

Od pewnego czasu Jacek nie zmienił się, bo to byłoby za mocne słowo, lecz jakby zmatowiał. Jego śmiech stał się cichszy, jego rozmowy telefoniczne z różnymi osobami nabrały specyficznego tonu, jakby rezerwy i ostrożności. Tak. A na Sylwestra, gdy mój ojciec oburzał się na świeżo wykryte nadużycia w jakimś tam urzędzie i mówił wiele nieprzychylnych rzeczy o aresztowanym dyrektorze Liskowskim,

Jacek najniespodziewaniej stanął w jego obronie. Było to tym dziwniejsze, że zawsze nie lubił Liskowskiego, a wtedy powiedział:

– Nie można zbyt pochopnie ludzi sądzić. Nie znamy kulisy sprawy. Nie znamy motywów, którymi się ten człowiek kierował. Są takie sytuacje w życiu, w których człowiek staje się niewolnikiem okoliczności.

Zawsze odznaczał się wyrozumiałością i dobrocią. Ale to już było zbyt jaskrawe. Czyżby już wówczas, broniąc tamtego, szukał usprawiedliwienia dla siebie?... Gdyśmy wracali do domu, znowu powrócił do tej sprawy i powiedział:

– Nie przyznaję racji twemu ojcu, że nie przyjął obrony Liskowskiego. Gdy się jest adwokatem, a w dodatku ma się renomę tak znakomitego obrońcy, nie wolno odmawiać pomocy nieszczęśliwemu. Przecież to natychmiast rozejdzie się w sferach prawniczych i, zastanów się tylko, jaki wpływ musi wyrzucić na sędziów. Każdy sędzia sobie powie: „Jeżeli mecenas Niementowski nie podjął się obrony, oskarżony jest oczywiście winien”.

Był wyraźnie przejęty sprawą Liskowskiego, chociaż nie dotyczyła nas wcale, gdyż nie utrzymywaliśmy z nim żadnych bliższych stosunków.

Przypomniałam sobie teraz i inne objawy jego zmienionego nastroju. Na przykład radio. Nie lubił go słuchać i nastawiał tylko wtedy, gdy zapowiedziana była jakaś enuncjacja Hitlera czy Chamberlaina, czy innego męża stanu. Wyjątki robił

dla koncertów najznakomitszych mistrzów. Natomiast w ciągu ostatnich dni, ilekroć zostawaliśmy we dwójkę, jakby dla uniknięcia rozmowy wyszukiwał różne audycje i przysłuchiwał się im z zainteresowaniem.

I jeszcze jedno. W stosunku do mnie może nie stał się czulszy, ale objawy jego uczuć przybrały ton namiętniejszy i gwałtowniejszy. Od dawna jego pocałunki i uściski nie były tak porywcze. To wszystko powinno było już dawniej mnie zastanowić, lecz oczy mi otworzył dopiero ten okropny list.

Czego mogę się spodziewać? Jak mogło się przedstawiać położenie sprawy?

Obiektywnie wiedziałam, że Jacek musiał kiedyś zawrzeć związek małżeński z jakąś kobietą. Sądząc z jej charakteru pisma, z papieru listowego, ze sposobu wysławiania się, ta kobieta jest kimś z towarzystwa.

Zresztą do innych Jacek po prostu nie mógł mieć dostępu. Nie przepadał za towarzystwem girls, baletnic czy aktoreczek. Tedy ożenił się zapewne z ową kobietą w zamiarze spędzenia z nią całego życia. Dalej wiem co?...

Wiem, że go porzuciła i że aż do ostatnich czasów nic nie wiedział o jej losach. Przypuszczalnie uciekła z jakimś gachem, by teraz wrócić i szantażować Jacka.

I czegoż może ona odeń żądać? Jedno z dwojga: albo pieniędzy, albo tego, by do niej powrócił. Jeżeli zdołała go wyśledzić, na pewno dowiedziała się również, że moi rodzice są bogaci. Oczywiście, ojciec, dla uniknięcia skandalu, zgodzi się

na każdą kwotę. Z listu wszakże wnioskować można raczej, że tej obrzydliwej kobiecie zależy na Jacku. W żadnym razie nie można do tego dopuścić. Byłabym skompromitowana.

Przyglądałam się mu. Im dłużej się przyglądałam, tym bardziej byłam przekonana, że nie oddam go żadnej innej. Po prostu dlatego, że go kocham, że już nie wyobrażałabym sobie życia bez niego. Nigdy nie marzyłam o lepszym mężu. Ten jego takt, to równe usposobienie i ta reprezentacyjność. Gdy się wchodzi z nim do salonu czy do restauracji, nie ma kobiety, która by nań nie zwróciła uwagi, nie ma mężczyzny, który by od razu nie powiedział sobie: *C'est quelqu'un*⁵.

Wszystkie, absolutnie wszystkie zazdrościły mi go. Nawet Buba, która wyszła przecież za księcia, zamieniłaby się w każdej chwili ze mną. Nie jest ładny, ale ma w sobie coś z Gary Coopera⁶. Ten prawdziwy męski wdzięk.

Buba i inne domyślają się u niego jakichś nadzwyczajnych uzdolnień i możliwości. Oczywiście nie wyprowadzam ich z błędu. Ostatecznie ma już lat trzydzieści dwa. Zresztą, czy

⁵ *c'est quelqu'un* (fr.) – to jest ktoś. [przypis edytorski]

⁶ *Cooper, Gary* (1901–1961) – właśc. Frank James Cooper; amer. hollywoodzki aktor filmowy, nagrodzony Oscarem za role w filmach *W samo południe* i *Sierżant York* oraz za całokształt twórczości w 1961 r.; gwiazda początków kina dźwiękowego, zyskał uznanie dzięki naturalnej, powściągliwej grze aktorskiej, kontrastowo różniącej się od stylu gry ery kina niemego. Jego kreacje przyczyniły się do ukształtowania romantycznego typu kowboja: wysokiego (Cooper mierzył ponad 190 cm wzrostu), o dyskretniej, męskiej urodzie, milkliwego, odzywającego się z rzadka głębokim, niskim głosem, będącego uosobieniem odwagi i męskiego honoru oraz amer. wolności. [przypis edytorski]

się od męża tylko tych rzeczy wymaga? W każdym razie nie zamieniłabym Jacka na żadnego innego. Taki na przykład Toto, chociaż jest potwornie bogaty, mógłby zameńczyć swoją neurastenią, swoimi dziwactwami, no i nieróbstwem. Gdyby mu odebrać pieniądze i tytuł hrabiowski, zostałoby prawie zero. Jest oczywiście bardzo miły, tak, może nawet niezastąpiony jako przyjaciel i towarzysz zabaw, ale mąż przecież to zupełnie co innego.

Za wszelką cenę musiałam zdobyć odeń informacje, lecz ile razy otwierałam usta, by zadać jakieś pytanie, Jacek zawsze uprzedzał mnie albo jakimś karesem⁷, albo zaczynając mówić o czymś obojętnym. Przy kolacji ze względu na ciotkę Magdalenę również o żadnych indagacjach⁸ nie mogło być mowy. Jacek pozornie był w zwykłym dobrym humorze, żartował z ciotką Magdaleną, opowiadał najnowsze anegdotki o różnych dygnitarzach i wypytywał ją o plotki towarzyskie. Po kawie powiedział:

– Mam jeszcze coś do napisania...

Zbyt dobrze go znam, bym nie zrozumiała, co to miało znaczyć. Dlatego też przerwałam mu, nim zdążył dokończyć:

– Ale zaraz później przyjdiesz mi powiedzieć dobranoc.

Chciał jakoś się wykręcić, ale z jednej strony nie wypadało mu, gdyż od trzech dni nie życzył mi dobrej nocy, a z drugiej, powiedziałam to takim tonem i z tym opuszczeniem rzęs, które

⁷ kares – pieścizna, czułość. [przypis edytorski]

⁸ indagacje (z łac.) – wypytywanie, przepytanie, badanie. [przypis edytorski]

zawsze działały nań nieodparcie.

– O, tak, Haneczko – szepnął z intonacją, mającą świadczyć, że o niczym innym nie marzył. Jacy ci mężczyźni są jednak bezbronni. Co prawda mam tylko dwadzieścia trzy lata i jeżeliby ktoś powiedział mi, że jestem piękna, nie byłoby to dla mnie nowością. Tej nocy w jego pieszczotach było znowu tyle zaborczości i chciwości. Omal mu nie powiedziałam: „Przypominasz mi kogoś, kto pije więcej, niż pragnie, jakby miał się znaleźć na bezwodnej pustyni”. Tak. Niewątpliwie go kocham. Gdy tak leży z zamkniętymi oczami, usiłuję wyobrazić sobie tamtą. Czy jest ładna? Czy jest młoda? Czy jest do mnie podobna? Zauważyłam, że przygląda się z upodobaniem Lusi Czarnockiej, a Lusie jest właśnie w tym samym typie co ja.

Zapytałam go niespodziewanie:

– Powiedz, Jacku, czy kiedyś kochałeś?

Drgnęły mu powieki, lecz uśmiechnął się, nie otwierając ich.

– Kiedyś i teraz, i zawsze.

– Nie wykręcaj się, przecież wiesz, o co mi chodzi. Pytam, czy kochałeś inną.

Milczał długo, wreszcie odpowiedział:

– Raz... Było to dawno... Zdawało mi się, że kocham...

Serce zabiło mi mocniej: wiedziałam, że mówi o niej. Nie uległo wątpliwości: Jacek nie podejrzewa, że domyślam się czegoś. Należało kuć żelazo, póki gorące.

– Dlaczego powiedziałeś, że ci się zdawało? – zapytałam lekko.

– Bo nie było to prawdziwe uczucie. Krótkie oszołomienie i tyle.

– A ona?

– Co ona?

– Czy kochała cię?

Wydał wargi i powiedział:

– Chyba... Nie wiem... Raczej nie...

– Byliście kochankami? – zapytałam bez nacisku. Spojrzał na mnie z ukosa.

– Daj spokój, Haneczko – powiedział. – Rozmowa o tym nie sprawia mi przyjemności.

– Dobrze – zgodziłam się. – Chcę wiedzieć tylko, czy się z nią widujesz.

– Skądże? – wzruszył ramionami. – Nie widziałem jej od wielu lat.

Widocznie nie miał zaufania do mojej rezygnacji z rozmowy na ten temat, gdyż spojrzał na zegarek i orzekł, że najwyższy czas na sen.

Poszedł do siebie, a ja do późnej nocy nie mogłam zasnąć, zastanawiając się nad tym, co mam począć i jak postąpić. Najprościej byłoby rozmówić się z nim szczerze, przyjść i powiedzieć mu prosto w oczy:

„Popełniłam rzecz brzydką. Otworzyłam list adresowany do ciebie i dowiedziałam się z niego, że jesteś bigamistą, że miałeś już żonę i że okłamałeś mnie, podając się za kawalera. Mam prawo chyba żądać wyjaśnień”.

Jak zachowałby się wówczas Jacek? Jacek z jego wrażliwością, z jego przesubtelnionym poczuciem honoru?... Przede wszystkim z właściwą mężczyznom logiką potępiłby mnie za to głupie otwarcie listu. A poza tym uczułby się zdemaskowany, skompromitowany i poniżony. Może znienawidziłby mnie za to, że podstępem wdarłam się w jego tajemnicę. Może porzuciłby mnie i wrócił do tamtej? Kto wie zresztą, czy po prostu nie palnąłby sobie w łeb?

Oczywiście mogłabym przeciwdziałać temu, mogłabym go zapewnić o swoich niezmiennych dla niego uczuciach i zaofiarować mu pomoc w walce z tą szantażystką. Ale w każdym razie cała ta brzydka sprawa ległaby na zawsze między nami jak brudny cień.

Myśl o tym, że znam jego przestępstwo, wyrodziłaby się w nim w końcu w niechęć do mnie. Przecież nigdy nie mógłby już zrobić mi żadnej uwagi. Bałby się przy każdym słowie, że mu wypomnę jego bigamię.

Nie. Stanowczo nie wolno mi wspomnieć mu bodaj słówkiem, że coś wiem o tym.

Nad ranem dopiero przyszedł mi szczęśliwy pomysł: stryj Albin Niementowski to jedyny człowiek, do którego się można zwrócić o radę.

Środa

Boże, co za straszny dzień! Oczywiście poszedł. Cała moja przebiegłość na nic się nie zdała. Gdy wychodził przed jedenastą, prosiłam go, by odesłał mi auto, gdyż miałam nadzieję, że od szofera dowiem się, w którym był hotelu. Tymczasem Jacek w ogóle auta nie wziął i widziałam przez okno, jak wsiadał do taksówki.

„B” – to może być pierwsza litera tak dobrze nazwiska, jak i imienia. W grę wchodzić mogą, jak sędzę, trzy wielkie hotele: „Europejski”, „Bristol” i „Polonia”⁹. W którym ona mieszka? Żeby chociaż wiedziała, ile ma lat lub jak wygląda.

Stryj Albin nie miał telefonu i musiałam jechać aż na Żoliborz, by się dowiedzieć, że nie ma go w domu. Czekałam na schodach przeszło godzinę i okropnie zmarzłam. Bałam się przy tym okropnie, by mnie kto tu nie zobaczył. Piękną awanturę urządziliby mi rodzice. Zostawiłam stryjowi kartkę z zawiadomieniem, że będę znowu o szóstej.

Jacek przyszedł na obiad wyraźnie zdenerwowany. Widziałam, ile wysiłku kosztowało go udawanie, że ma apetyt. Chciało mi się płakać. Po obiedzie najniespodziewaniej oświadczył:

– Dziś wieczorem wyjeżdżam do Paryża.

⁹ „Europejski”, „Bristol”, „Polonia” – nazwy najlepszych hoteli przedwojennej Warszawy. [przypis edytorski]

Oniemiałam. Mogło to oznaczać coś najgorszego. Musiał dostrzec, że zbłądłam, bo szybko dorzucił:

– Jadę tylko na trzy dni.

– Czy musisz? – zapytałam. – Czy musisz właśnie teraz jechać?

Udał zdziwienie.

– Co znaczy „właśnie teraz”?

Trochę się spieszyłam.

– Nic nie znaczy. Pytałam, czy nie możesz odłożyć wyjazdu. Przecież pamiętasz, że mamy kilka pilnych wizyt.

Paliała mnie chęć zapytania, czy jedzie sam. Najniedorzeczniejsze domysły tłukły mi się po głowie. Może postanowił wrócić do niej, może uciekają razem?... Może również być, że Jacek wyjeżdża, by ukryć się przed nią. Dlaczego nie chce być ze mną otwarty?! Czy nie ma do mnie zaufania?! I ta jego mina, ta mina, jakby czekał moich dalszych pytań, jakby z góry na nie miał gotowe odpowiedzi. To zupełnie brzydkie z jego strony.

– Mam wrażenie – odezwał się wreszcie – jakbyś była zaskoczona moją podróżą. Przecież jeżdżę bardzo często.

– Ach, nie. Wcale nie jestem zaskoczona. Czy kazać ci zapakować frak również?

Potrząsnął głową.

– Nie. Dwa ubrania. To wszystko. A poza tym nie chcę zabierać kufra, bo prawdopodobnie wrócę samolotem.

– Za trzy dni?

– Tak. Najdalej za cztery.

Powiedział to takim tonem, że prawie się uspokoiłam. Gdy jednak w godzinę później przygotowałam dla Józefa rzeczy do pakowania, przypadkiem wzięłam do ręki książeczkę czekową Jacka. I znowu moja nieszczęsna intuicja podszeptała mi, by zajrzeć, czy nie podniósł ostatnio większej sumy pieniędzy. W grzbietowym odcinku pod dzisiejszą datą figurowała kwota 52 000 złotych. Omal nie krzyknęłam. Dokładnie pamiętam, że na rachunku było niewiele ponad tę sumę. Więc podniósł wszystko. Dlaczego?... Czy żeby oddać to jej, czy żeby zapewnić sobie na kilka miesięcy możliwość egzystencji gdzieś za granicą? Nigdy nie odprowadzałam Jacka na dworzec, toteż i dzisiaj nie mogłam sobie na to pozwolić bez wzbudzenia jego podejrzeń. A jednak musiałam tam być. Musiałam zobaczyć, czy istotnie wsiada do pociągu paryskiego i czy jest sam, czy nie wyjeżdża z nią. Należało wymyślić jakiś pretekst. W głowie jednak miałam taki chaos, że nic rozsądnego mi na myśl nie przychodziło. Cała nadzieja w stryju Albinie.

Tym razem, na szczęście, stryja zastałam. Sam otworzył mi drzwi. Był w trochę poplamionym, lecz jeszcze bardzo eleganckim szlafroku. Połyskując monoklem i wspaniałymi zębami, przywitał mnie z taką swobodą, jakbyśmy się wczoraj widzieli, jakby nigdy między nami nic nie zaszło.

– Jakże się miewasz, mała? A co za wspaniałe futro! Świetny krój! No i ten połysk.

(Nic się nie zmienił. On się zawsze zna na wszystkim i

wszystko umie dostrzec. Niech mówią o nim, co chcą, a jednak niepodobna mu odmówić tego, że jest czarujący. Mój Boże, któż jest bez wad!)

Stryj usadowił mnie na tapczanie i poczęstował winem. Usiadł oczywiście obok mnie. Stanowczo za blisko. On już inaczej nie umie. Zresztą teraz, kiedy zależało mi na jego pomocy, nie mogę sobie pozwolić na żadne nieprzyjemne dlań odruchy.

– Domyślam się – zaczął uwodząco – że nie tęsknota cię do mnie sprowadza. A szkoda. Jesteś diabelnie ładna. Twoja pocziwa głupia mama musiała się zapatrzeć na madonnę Baldovinettiego albo po prostu na jakiegoś gondoliera. Oni tam miewają takie smoliste oczy i takie włosy jak z mosiądzu. Istny Baldovinetti¹⁰! Czy nikt ci jeszcze tego nie powiedział?

– Nie. I nawet nie wiem, czy to jest komplement, bo nigdy tego obrazu nie widziałam.

Lekko dotknął mojej ręki.

– Przyglądasz się mu, maleńka, co dzień po kilka razy: w lustrze. A już sama osądź, czy to komplement, czy nie.

– Stryj jest naprawdę niebezpiecznym człowiekiem –

¹⁰ *Baldovinetti, Alessio* (1427–1499) – wł. malarz doby renesansu, związany z Florencją; kształcił się w pracowni Domenica Veneziana, malował freski, obrazy ołtarzowe, portrety, projekty mozaik i witraży; częstym tematem dzieł Baldovinettiego są sceny z życia Marii, takie jak moment zwiastowania czy narodzenie Jezusa, ukazujące uduchowioną postać Madonny o delikatnym, precyzyjnym rysunku szczegółów. Prace artysty znajdują się obecnie w Bazylice Santa Annuziata i kościele San Miniato al Monte we Florencji (freski), w galerii Uffizi (obraz sztalugowy *Zwiastowanie*) oraz w Luwrze (*Madonna z Dzieciątkiem*, scena adoracji na tle tokańskiego krajobrazu). [przypis edytorski]

zaśmiałam się.

– Znajdujesz, że jeszcze?...

Przyjrzałam się mu. Pomimo siwych włosów, zmarszczek koło oczu i koło ust był uosobieniem męskości w pełnym rozkwicie. Gdyby nie to, że nigdy nie miałam pociągu do starszych panów i że się go jednak trochę (między nami mówiąc) boję, kto wie, czy nie potrafiłabym się poważniej nim zająć. Toż dopiero byłby skandal. Wyobrażam sobie minę papy!...

– Nie jeszcze, lecz dopiero teraz – powiedziałam z umiarkowaną zalotnością.

Musiałam go przecież jak najżyczliwiej do siebie usposobić.

Zaśmiał się z niejakim ukontentowaniem i, jaka klasa! Każdy inny dyletant w dziedzinie uwodzenia pozwoliłby sobie w podobnym momencie na jakiś śmielszy gest. On przeciwnie. Wstał i powoli nalewając sobie wino, przez parę chwil był odwrócony do mnie plecami. Co za kokiet!

– Wyobraż sobie – zaczął tonem zwierzeń – że rzeczywiście czuję się diabelnie młody. Zaczyna mnie to niepokoić nawet. Przecież to już pięćdziesiątka, a człowiek zamiast być poważnym i czcigodnym dziaduniem, ma wciąż zielono w głowie.

Zaprzeczyłam żywo:

– O, nie. Stryj nigdy nie miał zielono w głowie. Stryj jest jednym z najrozumniejszych ludzi, jakich znam. I właśnie dlatego do stryja przyszłam.

– A to zabawna historia – uśmiechnął się. – Jesteś chyba pierwszą kobietą na świecie, która przyszła szukać u mnie

rozumu. Inne najmniej się tym interesują. Ale widzę z tego, że musiałaś wpaść w jakąś nieprzyjemną historię. Co?...

Usiadł znowu przy mnie i uważnie patrzył mi w oczy.

– No, przyznaj się – mówił. – Ten twój nudny Renowicki przyłapał jakiś list do ciebie od... Tota.

Czułam, że się zarumieniłam z lekka. Skąd on może wiedzieć? By nie dać po sobie poznać, że mnie zaskoczył, wzruszyłam ramionami.

– Ach, Toto już od dawna zrezygnował z zabiegów o moje względy. A tu jednak stryj zgadł, że zaczęło się od listu. Dowiedziałam się o Jacku strasznych rzeczy. Jestem wprost w rozpacz...

– O, aż w rozpacz? Zdradza cię?

– Gorzej, stryju, znacznie gorzej: on jest żonaty!

– No, ostatecznie, moja droga – z robioną powagą powiedział, marszcząc brwi – to nie jest dla mnie aż taką nowiną. Wprawdzie nie byliście łaskawi zaprosić mnie na ślub, ale wiem, żeście się pobrali.

– Ach, stryju, tu nie chodzi o żarty! Jacek naprawdę jest żonaty z jakąś kobietą!

Kiwnął głową.

– To już pocieszające, że z kobietą...

– Jak to? – nie zrozumiałam.

– Mogłoby się okazać na przykład, że jest zboczeńcem.

– Ach, stryju, to naprawdę sprawa poważna. I jeżeli stryj mi nie pomoże... Ja dosłownie nie wiem, co mam począć!

Opowiem wszystko po kolei. Więc Jacek przez roztargnienie zostawił na biurku otwarty list...

Stryj mi przerwał:

– Jeżeli zostawił, to znaczy, że nie przywiązywał doń większej wagi.

– Ależ przeciwnie. Ogromnie mu na nim zależało.

– Skąd wiesz, że zależało?

Nie byłam zadowolona z tej indagacji. W gruncie rzeczy nie należało to do sprawy.

– No, bo wrócił po ten list i był bardzo zaniepokojony – powiedziałam.

– A cóż było w liście?

– Rzecz straszna! Jakaś kobieta pisała do Jacka jako do swego męża.

Powtórzyłam stryjowi treść listu, jak mogłam najdokładniej. Opowiedziałam następnie o dalszym zachowaniu się Jacka. Wysłuchał mnie z wielką uwagą, nie odmówił sobie jednak przyjemności wygłoszenia uwagi.

– No, no, okazuje się tedy, że w naszej rodzinie nie ja jeden jestem ową parszywą owcą.

Nic na to nie odpowiedziałam. Przykro mi było, że tak niedelikatnie dotknął sprawy, o której wołałabym nie wspominać.

Autorka pamiętnika nie nadmieniła tu, o co jej chodzi. Ponieważ dla znacznej liczby Czytelników rzecz przez to może ulec zaciemnieniu, uważam za swój obowiązek

wyjaśnić, że p. Albin Niementowski na osiem lat przed opisanymi przez jego bratanicę zdarzeniami miał dość przykrą sprawę sądową. Chodziło o uwiedzenie nieletniej, panny L. Z., której rodzice byli z tego niezadowoleni. W wyniku rozprawy sądowej p. Albin został skazany na dwa lata więzienia. (Przypisek T. D. M.)

– I czy jesteś pewna – zapytał stryj – że list ten nie jest zwykłą mistyfikacją?

– Najpewniejsza.

– Hm, a może napisał go sam twój kochany małżonek, by sprawdzić, czy nie zaglądasz do jego korespondencji?

– Ależ stryju! Czyż Jacek zdobyłby się na tyle przebiegłości!

– To prawda. Nie wygląda mi na szczególnie pomysłowego.

– A zresztą list niewątpliwie pisany był kobiecym charakterem pisma. Nie. Na pewno jest autentyczny. Poza tym zachowanie się Jacka utwierdza mnie w przekonaniu, że sprawa jest całkiem poważna.

– I powiadasz, że on dziś wyjeżdża do Paryża?

– Nie wiem. Tak mi powiedział. Czy ja wiem, dokąd wyjeżdża? Przypadkiem udało mi się stwierdzić, że podniósł wszystkie pieniądze z banku.

Stryj Albin gwizdnął przeciągle.

– Wszystkie?... To znaczy ile?

– Coś pięćdziesiąt dwa tysiące.

– Psiakrew. Mają ludzie pieniądze – mimochodem zauważył stryj i dodał: – Nie zostawił ani grosza?

– Owszem, coś kilkaset złotych. Ale to jest nieważne.

– W porównaniu z tamtą kwotą – oczywiście. Powiedzże mi, moja mała, czyś już mówiła o tym z rodzicami?

– Ależ niech Bóg broni! Stryj może sobie wyobrazić, co ojciec by zrobił!

– Tak, ten stary idiota, ma się rozumieć, narobiłby alarmu. Postąpiłaś, kochanie, bardzo inteligentnie, żeś ani mężowi, ani rodzicom nie pisnęła słówkiem o swoim odkryciu. Rzecz w istocie wymaga największej dyskrecji.

Wzięłam stryja za rękę.

– Drogi stryjasku, stryj mi pomoże. Prawda?...

Zamyślił się i wreszcie skinął głową.

– Nawet z dużą przyjemnością. Ale pod jednym warunkiem.

– Och, stryju – zawołałam uszczęśliwiona – byłam pewna, że stryj mi nie odmówi! Ja przecie literalnie nie mam do kogo udać się o radę, o pomoc!

– Służę ci, ale pod jednym warunkiem – podkreślił.

– Ale stryjasek chyba nie postawi takiego warunku, który... na który...

Zmarszczył brwi, lecz od razu się rozpogodził i obrzuciwszy mnie ironicznym spojrzeniem (on jednak naprawdę jest świetny!), powiedział:

– Moja mała. Cóż ty sobie wyobrażasz, że ja – ja! – muszę uciekać się do takich sposobów dla zdobywania kobiet?

Zaczerwieniłam się, a on dodał:

– Zdaje się, że przedwcześnie poczęstowałam cię

komplementem o twojej inteligencji.

– Bardzo przepraszam, ale doprawdy stryj mnie źle zrozumiał.
– No, no, już dobrze, mniejsza o to. Więc słuchaj uważnie. Chętnie wezmę tę sprawę w swoje ręce. Jednakże tylko w tym wypadku, jeżeli zobowiążesz się do całkowitego podporządkowania się moim wskazówkom. Nie wolno ci nic robić na własną rękę. Absolutnie nic. Wierzę wprowadzić w twój spryt, ale tu robota musi być arcymisterna, tu jeden fałszywy krok może zburzyć wszystko. Rozumiesz?

– Rozumiem – przyznałam bez namysłu.
– I obiecujesz mi, że będziesz ściśle stosowała się do moich dyrektyw?

– Ależ z największą przyjemnością.
– Doskonale tedy¹¹. Otóż przede wszystkim chcę ci powiedzieć, co o tym sędzę. Nie myślę, by rzecz była łatwa i prosta. Najprawdopodobniej owa kobieta jest rzeczywiście żoną twego męża. I ma jakieś wyjątkowo ważne powody, dla których go odszukała. To wspomnienie o rzekomo inwitujących¹² ją uczuciach nie wydaje mi się szczere. Żadna kobieta nagle, po kilku latach niewidzenia mężczyzny nie przypomina sobie, że go kocha.

– Właśnie.
– Otóż raczej dopatrywałbym się tu próby szantażu.
– To jest bardzo prawdopodobne.

¹¹ *tedy* (daw.) – zatem, w takim razie. [przypis edytorski]

¹² *inwitować* – nawiedzać, nachodzić; odwiedzać, składać wizytę. [przypis edytorski]

– Przede wszystkim – ciągnął stryj – trzeba ustalić fakty. Wiemy, że osoba podpisująca się literą B. jest w Warszawie i mieszka w hotelu. Mieszka lub mieszkała, bo i to możliwe, że razem z twoim czarującym małżonkiem dzisiaj wyjeżdża. Najpierw tedy trzeba stwierdzić, czy Jacek jedzie sam, czy z nią. Musisz być na dworcu i sprawdzić to. Oczywiście można byłoby wynająć detektywa...

– I ja zastanawiałam się nad tym – wtrąciłam.

Stryj potrząsnął głową przecząco.

– Nie, to byłoby zbyt ryzykowne. Detektyw mógłby wpaść na ślad istotny, to znaczy dowiedzieć się, że twój mąż jest bigamistą. Gdyby to nastąpiło, trzymałby go w rękę i miałby możliwość nieograniczonego szantażu. Nie. Tu nikomu nie można zaufać. Sprawa jest zbyt poważna. Odprowadź swego małżonka na dworzec i bacznie uważaj, czy nie szuka on wzrokiem owej damy. Jeżeli nawet jedzie z nią razem, myślę, że zachowa wszystkie ostrożności. Prawdopodobnie ulokują się nawet w różnych wagonach.

Zaniepokoiłam się.

– Więc stryj sądzi, że on z nią chce uciec?

– Nic nie sędzę – wzruszył ramionami. – Po prostu przyjmuje to jako jedną z ewentualności.

– To byłoby okropne. I cóż ja wtedy mam zrobić?

– Musisz uciec się do jakiegoś podstępu, by go zatrzymać. Na przykład postaraj się, by nie zdążył wsiąść do pociągu. Rozumiesz, mała?

– Ale w jaki sposób?

– Nie jesteś doświadczona – zaśmiał się. – To bardzo proste. Udaj zemdenie. Będzie cię musiał wówczas ratować i zostanie. A wtedy będzie czas na powzięcie jakichś nowych decyzji. Ja ze swej strony podejmę próby odszukania tej kobiety. Przejrzę listy osób zamieszkałych w kilku większych hotelach. Nie jest to najlepszym sposobem, ale skoro nie ma innego... No, więc dobrze. Wieczorem do ciebie zatelefonuję, by się dowiedzieć, co się stało z Jackiem.

– Ale jaki pretekst wymyślić, by Jacka odprowadzić? Nigdy tego nie robię.

– Więc nie odprowadzaj go, tylko zjaw się na dworcu w parę minut po nim pod pozorem, żeś zapomniała go prosić o załatwienie jakiegoś sprawunku w Paryżu.

Ten stryj Albin ma rzeczywiście fenomenalną głowę. Oczywiście najściślej zastosowałam się do jego wskazówek. Zdążyłam jeszcze na czas do domu przed Jackiem. Neseser i walizka były już spakowane. W chwili kiedy przyszedł, zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę i usłyszałam nieznany kobiecy głos. Serce zabiło mi mocniej.

– Czy mogę mówić z panem Renowickim?

Nie wiedziałam dlaczego, ale byłam przekonana, że to ona. Do Jacka telefonuje moc osób, ale tym razem głowę dałabym, że to ona. Zapytałam:

– A kto prosi?

I w tej chwili Jacek najniespodziewaniej w sposób niemal

brutalny wyrwał mi słuchawkę mówiąc:

– Pozwól, to do mnie.

Wyszedłam do sąsiedniego pokoju, lecz zostawiłam drzwi uchylone i dokładnie słyszałam, co mówił. Niestety, był bardzo ostrożny. Poza słowami „tak” i „nie” nie powiedział nic. Rozmowa zresztą trwała zaledwie jedną czy dwie minuty. Podszedł do mnie z najspokojniejszą w świecie miną i wyjaśnił:

– To dzwoniła sekretarka Laskowskiego.

Oczywiście kłamał. Bezczelnie kłamał. Jakże mi ciężko było nie powiedzieć mu tego w oczy. Musiał jednak i tak zauważyć, że mu nie wierzę. Zapewne dlatego żegnał się ze mną bardzo czule i powiedział, że będzie tęsknił za mną. Ile może być obłudy w mężczyźnie!

Gdy tylko auto ruszyło sprzed domu, ubrałam się natychmiast i wybiegłam do taksówki. Nie wolno mi było stracić ani jednej chwili. Gdy taksówka zatrzymała się przed dworcem, niemal pędem przebiegłam salę, kupiłam bilet peronowy i na szczęście dopędziłam go. Szedł wzdłuż pociągu za tragarzem niosącym walizki. Obserwowałam go uważnie i widziałam, że najwyraźniej kogoś szukał, za kimś się rozglądał. Nagle odwrócił się i dostrzegł mnie.

Musiałam zachować się trochę nieprzytomnie i widocznie zbyt mętnie tłumaczyłam mu, o jakie pończochy mi chodzi, gdyż patrzył na mnie, nie ukrywając zdziwienia. Potem jakby nigdy nic zapisał w notesie te moje nieszczęsne pończochy i nie przestawał się rozglądać. Nie wytrzymałam.

– Czy szukasz kogoś? – zapytałam.

– Tak – skinął głową. – Jedzie ze mną pan Melchior Wańkowicz¹³ i boję się, by się nie spóźnił. Mamy wspólny przedział slipingu.

I o dziwo, okazało się, że mówił prawdę. Przed samym odejściem pociągu istotnie zjawił się pan Melchior trochę zasapany z pośpiechu, lecz jak zawsze szarmancki. Zasypał mnie komplementami. Z tym wszystkim musiałam mieć głupią minę.

Przeszłam przez wszystkie wagony i nie zobaczyłam ani jednej kobiety, która mogłaby wchodzić w rachubę. Nie. Jacek wyjeżdżał bez niej. Wróciłam do domu znacznie uspokojona. Koło dziesiątej zdałam telefonicznie relację stryjowi Albinowi i dowiedziałam się od niego, że już zaczął swoje poszukiwania.

Był to ogromnie denerwujący dzień.

¹³ *Wańkowicz, Melchior* (1892–1974) – pisarz, dziennikarz, reportażysta i publicysta polski; w międzywojniu znany jako autor tomów reportaży i wspomnień *W kościołach Meksyku*, *Szczeniące lata*, *Opierzona rewolucja*; do przewrotu majowego w 1926 r. pracował w administracji państwowej (jako kierownik Wydziału Prasowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, potem naczelnik Wydziału Prasowego i Widowiskowego tamże), potem został współzałożycielem i współwłaścicielem Towarzystwa Wydawniczego „Rój”, które opublikowało m.in. powieść *Kariera Nikodema Dyzmy* Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. [przypis edytorski]

Czwartek

Toto jest kretynem. Wyobraża sobie, że cały świat się koło niego kręci. Moje zdenerwowanie tłumaczy sobie tym, że widziano go wczoraj w „Colombinie” z Muszką Zdrojewską. Ja miałabym być zazdrosna o taką Muszkę! A ten idiota przeprosza mnie i przysięga, że nic go z nią nie łączy. Ależ proszę bardzo. Niech ma sto Muszek i z każdą pięcioraczką kanadyjskie. Powiedziałam mu to. Ja tu przeżywam wielką tragedię, a on z jakimiś Muszkami. Zresztą ona jest zezowata.

Byłam dziś z Totem i z Rysiem Platerem na śniadaniu w „Bristolu” i na kolacji w „Europie”. Toto naturalnie szczęśliwy. On życia nie rozumie bez knajp.

Śmiać mi się chciało, gdyż jestem pewna, że mu się zdawało, że dlatego z nim poszłam, by odciągnąć go od Muszki. Nie znam zarozumialszego człowieka od niego. Rozglądałam się bardzo uważnie. Jeżeli ona mieszka w hotelu, na pewno też jada w restauracji hotelowej. Było rzeczywiście i tu, i tam sporo młodych i niebrzydkich kobiet.

Teraz dopiero zrozumiałam, jak wielkie piętrzą przede mną trudności. Zwątpiłam nawet, czy pomoc stryja coś wskóra, chociaż miałam możność stwierdzić, że stryj nie próżnuje. Widziałam go mianowicie w hallu hotelowym. Siedział, udając, że czyta gazetę. Na szczęście nie uklonił mi się. Spodziewam się, że jutro do mnie wstąpi. Daj Boże, by z jakimiś rezultatami.

Piątek

Tego mi tylko brakowało. Nie dość mam własnych nieszczęść, jeszcze ta Halszka Kornilowska! I jak można tak głupio wpaść! Przyszła do mnie rozdygotana i podniecona, kiedy jeszcze siedziałam w wannie. Od razu domyśliłam się, że ma jakieś niezwykle zdarzenia romantyczne, i zapytałam:

– Zerwałaś z Pawłem?

– Ach, cóż znowu, moja złota. Przecież wiesz, że go kocham do szaleństwa. No i nigdy, nigdy go nie zdradzałam. Ale wiesz, latem w Krynicy... No, ja sama nie wiem, jak się to stało... Po prostu jakaś chwila słabości... Wiesz, że ty naprawdę jesteś prześlicznie zbudowana. To te masaże. Ja dosłownie nie mam czasu na masaż i Karol wścieka się na mnie, że musi opłacać masażystkę, która co dzień odchodzi nic nie robiąc. Im bardziej się starzeje, tym staje się skąpszy. Ale nie o tym chciałam mówić. Więc w Krynicy poznałam pewnego młodego człowieka. No wiesz, sezonowa przygoda bez znaczenia. Zresztą nie wiedziałam, kto to jest. Wiesz, prezentował się bardzo dobrze. Świetnie ubrany, bardzo męski, typ sportowca. Znakomicie tańczył. Słowem, bez zarzutu. Czyż mogłam przewidzieć, że to jakiś niebieski ptak.

– Niebieski ptak?

– Okropnie!

– Jakiś fordanser¹⁴?

– Nie, nawet nie to. Ale co mnie to obchodzi. Wiesz, jak kocham Pawła. A ten mnie zmusza do zdrady. Jestem w strasznym położeniu. Wpadłam w jego szpony. Grozi mi, że wszystko powie mężowi i Pawłowi.

– No, tak. To rzeczywiście nieprzyjemne – zauważyłam. – A czy nie żąda od ciebie pieniędzy?

– Ach, cóż tam pieniądze. Sto razy wołałabym mu zapłacić, ale on zakochał się we mnie do szaleństwa. Ty nie masz pojęcia, jaki on jest drapieżny i bezwzględny. A najgorsze to to, że Paweł zaczyna mnie śledzić. Jestem w okropnym położeniu. Wzruszyłam ramionami.

– Nie rozumiem cię, moja droga. Chociażby coś naopowiadała twemu mężowi czy Pawłowi, to i tak przecież możesz się zaprzecć wszystkiego w żywe oczy.

– Niestety nie – westchnęła Halszka – bo popełniłam straszną nieostrożność. Ma moje listy. Ach, gdyby ich nie miał, gdyby mi się udało wydobyć je jakimś podstępem, byłabym wolna. Ale on mnie właśnie szantażuje tymi listami. Jestem w rozpacz.

– Współczuję ci serdecznie – powiedziała szczerze, pomyślawszy o tym, że jesteście obie w bardzo zbliżonych sytuacjach. Moja jest oczywiście znacznie gorsza. Ach, gdybym mogła jej to opowiedzieć. Zobaczyłaby dopiero, co to znaczy przeżywać naprawdę dramat. Podczas gdy ubierałam się,

¹⁴ *fordanser* – płatny partner do tańca pracujący w lokalach rozrywkowych, restauracjach hoteli w miejscowościach uzdrowiskowych itp. [przypis edytorski]

Halszka zaczęła mnie prosić:

– Moja kochana, poradź mi, co ja mam zrobić. To jest straszne. Żyć w ciągłym niepokoju wśród trzech zakochanych do nieprzytomności mężczyzn. Ja nawet nie wiem, co oni we mnie takiego nadzwyczajnego widzą. Jestem taka jak każda inna. Trochę tej urody...

– Jesteś bardzo ładna – powiedziałam, chociaż nie cierpię, by ktoś w tak natarczywy sposób dopominał się o komplementy. Miałam wielką ochotę dodać, że ci trzej panowie widocznie mają szczególniejsze upodobanie do krzywych nóg. Naprawdę. Halszka ma z lekka krzywawe nogi, ale obraziłaby się śmiertelnie, gdyby jej to powiedzieć.

– Jesteś przecież moją przyjaciółką i dlatego znajduję tyle łaski w twoich oczach. Zbrzydłam w ostatnich czasach. Cera mi się psuje. Pani Adolfina stosuje przestarzałe metody kosmetyczne. W końcu przeniosę się do tej twojej. Czy ona jest bardzo droga?

– Dość droga, ale za to ma się pewność, że nie ma w Warszawie lepszej kosmetyczki. A czy nie próbowałaś mu wykraść tych listów?

– To jest beznadziejne. On je trzyma pod kluczem.

– A czy pamiętasz ich treść? Może tam nie ma nic kompromitującego?

– Niestety. Wystarczyłyby Karolowi jako powód do rozwodu. Może i nie rozwiódłby się ze mną, bo jestem przekonana, że nie potrafiłby żyć beze mnie. Ale nie mogę dopuścić, by dostały się

do jego rąk.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Czyżby naprawdę nie wiedziała o tym, co jest tajemnicą poliszynela, że ten jej cały Karol od lat kocha się w kim innym. Nie wie, czy tak świetnie udaje?

– W dodatku ten łotr mieszka na Poznańskiej, o trzy domy od Pawła. Możesz sobie wyobrazić, że drzę ze strachu, by się nie spotkali...

– To rzeczywiście straszne – przyznałam. – Ja na twoim miejscu chyba bym go zabiła... A czy nie próbowałaś poprosić kogoś, by się z nim rozmówił? Przecież twój brat jest oficerem. To człowiek odważny. Mógłby pójść do tego szantażysty...

– Ach, nie, nie. Nigdy w świecie nie odważyłabym się przyznać Władowi. Czyż go nie znasz?! On by ze mną zerwał wszystkie stosunki. Jestem przekonana, że nigdy nie zdradził żony. To taki moralista. Daję ci słowo, że wołałabym już przyznać się Pawłowi.

Nagle wpadłam na świetny pomysł.

– Wiesz co, Halszko?! A gdybym ja z nim pomówiła?

– Z Pawłem?

– Nie, z tamtym. Przecież to nie może być łotr bez czci i wiary. Postaram się przemówić mu do sumienia.

– Nie, nie. To nie ma sensu – zaoponowała¹⁵ Halszka. – To jest człowiek wyzuty z jakichkolwiek ludzkich uczuć. A zresztą mówię ci, że tak mnie kocha...

¹⁵ *zaoponować* – przeciwstawić się, zaprotestować. [przypis edytorski]

– Może by jednak zaryzykować. Ostatecznie nie połknie mnie. Mam nadzieję, że to nie jest żaden bandyta?

– Ależ nie. Na pozór jest nawet dobrze wychowany.

– A ja jestem przekonana, że mi się uda załatwić to dla ciebie. Wiesz, że umiem argumentować. Czy nie pamiętasz, jak przekonałam Lutę, by nie rozwodziła się z mężem? Dostałam wtedy od niego olbrzymi koszt storczyków. Tak. Nie ma o czym mówić. Pójdę do niego i zobaczysz, że wszystko przeprowadzę jak najlepiej. Zresztą mogę przecież użyć podstępu. Zapewnię go, że ty go również kochasz, lecz że nie możesz dłużej znosić tej męczarni, że nie możesz żyć pod ustawiczną groźbą. Rozumiesz? W ten sposób odzyskasz listy i swobodę.

Halszka zastanawiała się jeszcze, lecz w końcu się zgodziła. Podała mi jego nazwisko, telefon i adres. Okazało się, że nazywa się Robert Tonnor. Halszka przypuszczała, że może być cudzoziemcem, ale nie była tego pewna. Zaklina mnie, bym nie zdradziła się przed nim, broń Boże, że ona jego postępowanie nazywała szantażem.

– Zaciąłby się wówczas i jeszcze by się na mnie zemścił. To straszny człowiek. Na miły Bóg, bądź ostrożna!

Uspokoiliam ją w tym względzie. W gruncie rzeczy byłam bardzo zadowolona z tej misji. Bóg wie, co może mnie jeszcze czekać w moich sprawach, które przecie są znacznie poważniejsze. Przyda mi się pewne doświadczenie w podobnych kwestiach.

Około pierwszej miałam jechać do Goussin-Catley¹⁶, gdzie robią mi dwie balowe sukienki. Musiałam jednak miarę odłożyć, gdyż przyszedł stryj. Zanedbuję się w najpoważniejszych rzeczach. Jeszcze mi ich na czas nie wykończą z powodu Jacka. Swoją drogą to straszne świństwo z jego strony. Wprost pojąć nie mogę, jak człowiek rozsądny jest w stanie popełnić bigamię. Nie tracę nadziei, że jakoś uda się to załatwić, ale niech on sobie nie myśli, że ja mu to kiedykolwiek przebaczę. Już będzie miał za swoje w każdym razie.

Stryj Albin dokazał cudów. Mianowicie miał całą długą listę wszystkich pań mieszkających w główniejszych hotelach, tych pań, których nazwiska lub imiona zaczynają się na B. Było tego ponad 40 sztuk. Niektóre z nich już obejrzał, korzystając z uprzejmości portierów lub chłopców hotelowych. Żadna z nich jednak nie wywołała podejrzeń.

– A czym stryj kierował się przy ocenianiu, czy nie jest to właśnie obchodząca nas kobieta?

– Brałem pod uwagę szereg szczegółów hipotetycznych. Więc przede wszystkim wiek. Skoro Jacek zaręczył się z tobą plus minus przed pięcioma laty, na pewno już wówczas był przekonany, że dawna żona nie będzie go szukała, że porzuciła go na zawsze. By utwierdzić się w tym przekonaniu, musiał wziąć pod uwagę czas od dwóch do trzech lat. Więc mamy minimum

¹⁶ *Goussin-Catley* – jeden z najprzedniejszych domów mody i zakładów krawieckich w przedwojennej Warszawie, obok firm Myszkorowskiego, braci Jabłkowskich czy Hersego. [przypis edytorski]

jakieś osiem lat. Zostać jego żoną mogła mając najmniej lat osiemnaście. Osiemnaście plus osiem i mamy cyfrę dwadzieścia sześć, czyli dolną granicę jej wieku. Musimy jednak ustalić i górną. Tu sprawa będzie trudniejsza. Przed ośmiu laty Jacek miał dwadzieścia cztery. Takim młodzieńcom często podobają się kobiety znacznie od nich starsze. Na przykład czterdziestoletnie. Ale mamy tu jedną wskazówkę, którą musimy wziąć pod uwagę. Otóż owa dama wkrótce po ślubie porzuciła Jacka. A sama się o tym przekonasz, gdy będziesz się starzała, że starzejąca się kobieta nie tak znów łatwo i nie tak chętnie porzuca mężczyznę w ogóle, a szczególnie mężczyznę znacznie od siebie młodszego.

– Stryj jest geniuszem – powiedziałam z przekonaniem.

– Nie jesteś pierwszą osobą tego zdania – potwierdził kiwnięciem głowy. – Jesteś drugą. Pierwszą byłem ja sam. Otóż uważaj. Biorąc to wszystko pod uwagę możemy przypuścić, że była to wówczas osoba w pełni rozkwitu i z wszystkimi szansami powodzenia. Nie mogła tedy liczyć więcej niż lat dwadzieścia osiem. Dwadzieścia osiem plus osiem daje nam trzydzieści sześć. Czyli poszukiwana przez nas „pani B.” jest w wieku od dwudziestu sześciu do trzydziestu sześciu lat. Teraz kwestia wyglądu. O ile się orientuję, Jacek ma ustalony gust. Podobają mu się wysokie blondynki o ciemnych oczach. Tu też mamy pewną wskazówkę. Poza tym możemy założyć, że „pani B.” nie jest osobą brzydką i raczej wytworną. Możemy też nadmienić, że nie jest pozbawiona ani taktu, ani dobrych manier.

– Z czego stryj to wnioskuje? – zdziwiłam się.

– No bo gdyby była wulgarną awanturnicą, nie zwróciłaby się teraz do Jacka, lecz do ciebie. Zrobiłaby ci jakąś scenę, najprawdopodobniej publiczną. Reasumując, mamy do czynienia z młodą, wytworną i dobrze wychowaną wysoką blondynką o ciemnych oczach. I takiej właśnie szukam.

– Stryj jest aniołem!

– Do pewnego stopnia – przyznał. – Widzisz, moja mała, aniołowie, jako duchy niebiańskie i pozbawione ciała, a natomiast obdarzone możliwością przenikania przez ściany, absolutnie nie potrzebują pieniędzy. W swojej pracy detektywnej, jeżeli już mają się nią zajmować, nie muszą dawać napiwków ani przesiadywać w restauracjach hotelowych. Wszystko to kosztuje.

Zerwałam się z miejsca, by przynieść torebkę, lecz stryj zatrzymał mnie ruchem ręki.

– O nie, moja mała. Pomagam ci z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że mnie to bawi, po drugie dlatego, że chcę ci sprawić przyjemność. Żadnych pieniędzy od ciebie nie przyjmę. I nie wspominałbym o nich w ogóle, gdyby nie to, że w ostatnich czasach diabelnie mi karta nie idzie. Wszyscy grubszy partnerzy zamiast przychodzić na grę, wydają gotówkę gdzie indziej. Taki na przykład twój Toto. To człowiek, któremu przegrane kilkuset złotych nie robi żadnej różnicy. A między nami mówiąc gra jak noga. Otóż już od dwóch tygodni nie zajrzał ani razu do naszego klubiku.

Byłam zdumiona. Wiedziałam, że Toto prawie codziennie

bywa w Klubie Myśliwskim. Ale znowuż wydało mi się nieprawdopodobieństwem, by wpuszczano tam stryja Albina. Na wszelki wypadek zapytałam:

– Czy stryj myśli o Myśliwskim?

– Ach, cóż znowu – skrzywił się ironicznie. – Klub Myśliwski to jest przeszłość, która już dla mnie nigdy nie wróci. Mówię o takiej szulerni, która nosi szumne miano klubu i gdzie po cichu uprawiamy hazard.

– Mój stryju! Po co stryj tam chodzi?! – powiedziałam z wyrzutem.

– O, tam bywa sporo osób godnych szacunku. Wystarczy ci, jeżeli powiem, że nawet policja zagląda tam co parę dni. Co prawda, nie dla przyjemności zagrania w pokera lub bridża, ale przecież i robienie rewizji w lokalu też jest emocjonującą grą.

W milczeniu opuściłam głowę. Pomyśleć, jak nisko upadł ten świetny pan, który kiedyś uchodził za jednego z najwykwintniejszych bonvivantów, za wymarzoną partię, za dżentelmena pierwszej klasy...

Potwierdziło się to, co mówił ojciec: ten człowiek żyje z szularki. A w każdym bądź razie jeżeli nawet nie oszukuje przy kartach, utrzymywanie się z nich nikomu nie przynosi chwały. Stryj poprawił monokl i oglądając swoje doskonale utrzymane paznokcie, ciągnął:

– Mogłabyś od niechcienia zapytać Tota, czy ostatnio nie grywa. To przypomniałoby mu klub. Albo na przykład dać mu jakiś banknocik i powiedzieć, żeś to znalazła na ulicy.

Jeżelibyś do tego dodała prośbę, by spróbował szczęścia z tym banknotem... Więcej niczego od ciebie bym nie żądał.

Zrozumiałam. Chciał ode mnie, bym stała się jego współniczką i zajęła się zwabieniem Tota do szulerni, by tam go ograno. Było to w gruncie rzeczy obrzydliwe. Od razu straciłam cały sentyment do stryja. Stokroć wołałabym mu sama dać pieniądze i zaproponowałam to nawet z dużym naciskiem. Odmówił jednak stanowczo.

Przyszło mi na myśl, że ostatecznie dla Tota taka przegrana istotnie nic nie znaczyła. A dobrze byłoby, gdyby choć w taki sposób został ukarany za swą zarozumiałość. No i za tę głupią Muszkę. Jednak po dłuższym zastanowieniu doszłam do przekonania, że czułabym do siebie wstręt, gdybym wzięła udział w tej machinacji. Stryjowi powiedziałam oczywiście, że się zgadzam. Miałam już pomysł zaaranżowania tej sprawy w inny sposób.

Zaraz po wyjściu stryja zatelefonowałam do owego Tonnora. Przyznam się, że serce mi mocno biło, gdy czekałam, aż się odezwie. Nigdy nie dzwoniłam do nieznajomych mężczyzn tego typu. W tej chwili postanowiłam sobie, że zachowam wszystkie środki ostrożności. W domu zostawię list z jego adresem i z poleceniem, by mnie tam szukano, jeżeli nie wróćę do określonej godziny, a do torebki wezmę rewolwer Jacka.

W słuchawce odezwał się niski głos męski. Zapytałam, czy mówię z panem Robertem Tonnorem, a gdy potwierdził, powiedziałam:

– Proszę pana, nie podam panu swego nazwiska, bo nie ma ono dla pana żadnego znaczenia i pragnęłabym je zachować w tajemnicy. Ale muszę widzieć się z panem. Mam do pana interes, interes dość ważny, zapewniam pana, by poświęcił pan mu kilka chwil czasu. Czy mógłby mnie pan przyjąć, powiedzmy, jutro w godzinach rannych?

Był widocznie zaskoczony, gdyż odpowiedział:

– A czy ja mam przyjemność panią znać?

– Nie, proszę pana.

– Może z widzenia?...

– Nigdy pana nie widziałam.

– Więc jakiego rodzaju może pani mieć interes do mnie? Bo uprzedzam z góry, że jeżeli to ma być odkurzacz, krawaty czy patentowana maszynka do golenia, to wszystko już posiadam.

Omam nie zaśmiałam się i powiedziałam mu, że to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Wówczas on zamyślił się i oświadczył, że jutro nie dysponuje czasem. Natomiast może mnie przyjąć dzisiaj o ósmej.

Nie miałam wyboru, ponieważ zaś chciałam sprawę tej biednej Halszki załatwić jak najprędzej – zgodziłam się.

Ubrałam się w czarną suknię i nie wzięłam żadnej biżuterii (po takim człowieku wszystkiego przecież można się spodziewać). Włożyłam tylko obrączkę i mały sznur pereł. Perły ostatnio wchodzą znów w modę. Napisałam list, znalazłam w szufladzie rewolwer Jacka, przeżegnałam się i wyszłam.

Bóg wie, co mnie może spotkać.

Sobota

Opowiem wszystko po porządku. Gdy wczoraj wchodziłam na schody jego domu, kolana trzęsły się pode mną. Na drzwiach nie było żadnej tabliczki. Przeżegnałam się i nacisnęłam guzik dzwonka. Aż przeraziłam się, gdyż drzwi niemal natychmiast się otworzyły. Przede mną stał wysoki, barczysty brunet o szarych przenikliwych oczach. Miał na sobie granatowe ubranie i czarny krawat. (Czyżby był w żałobie?) Wyglądał zupełnie przyzwoicie. Nawet przystojny.

Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem i powiedział:

– Proszę. Czekałem na panią.

Głos miał niski i raczej przyjemny. I pomyśleć, że takiego człowieka można spotkać na ulicy czy w kawiarni, wcale nie wiedząc, że jest to niebezpieczny szantażysta.

– Nie zajmę panu więcej niż pięć minut czasu – powiedziałam, chcąc przejść dalej. Nie mogłam przecież zdejmować futra. On jednak z jakąś bezczelną stanowczością po prostu wziął mnie za kołnierz, mówiąc:

– Pani będzie łaskawa jednak zdjąć futro, bo u mnie jest gorąco i później się pani zaziębi.

Czyż miałam się z nim szamotać? Straszny człowiek. Mieszkanko było nieduże, ale zupełnie przyzwoicie urządzone. Wskazał mi fotel i usiadłszy naprzeciw, zapytał:

– Czym mogę pani służyć?

– Jestem przyjaciółką Halszki Korniłowskiej – zaczęłam niezbyt pewnie.

Z lekka podniósł brwi, mówiąc:

– Bardzo mi miło...

– Nie chcę, by pan mnie źle zrozumiał. Przyszłam do pana, by mu wyjaśnić pewne rzeczy.

– Wyjaśnić? Jakie rzeczy?

– To jest doprawdy bardzo intymne. Ale może pan być przekonany, że umiem zachować tajemnicę. Otóż, chociaż panu się wydaje, że Halszka stroni od pana, chcę go upewnić, że jest wprost przeciwnie. Ona wciąż pana kocha.

Postarałam się w te swoje słowa włożyć jak najwięcej głębokiego przekonania. On jednak zrobił jakąś dziwną minę i powiedział:

– Być może, proszę pani. Ale to nie jest dla mnie znów tak wielką rewelacją.

Pomyślałam, że swoją drogą nie brakuje mu bezczelności. Dlatego tylko, że jest taki przystojny i że ma ten chłodny wyraz oczu, sądzi, że kobiety muszą się w nim kochać, i uważa to za rzecz zwyczajną. Z przyjemnością rzuciłabym mu wprost w twarz, że Halszka go nienawidzi. Należało jednak dyplomatyzować.

– Tym lepiej, że pan o tym wie – zauważyłam. – Ja co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości. Jestem jej bliską przyjaciółką. Ale widzi pan, są pewne szczegóły, które zatruwają waszą miłość. Przyzna pan, że groźba ustawicznego

niebezpieczeństwa bynajmniej nie sprzyja szczęściu.

– O jakim niebezpieczeństwie pani mówi? – zapytał prawie ironicznie. – Nie należę do ludzi zbyt strachliwych.

– Ach, to nie o pana chodzi. Chodzi o Halszkę. Pan ma... pan jest w posiadaniu jej listów. Ja wiem, że przedstawiają dla pana cenną pamiątkę z okresu, gdy się rodziło wasze uczucie. Któż tego nie rozumie?... Ja sama niechętnie bym się takich listów wyzbyła. Niechętnie bym się ich wyzbyła nawet wówczas, gdyby już samo uczucie zgasło. Przecież to tak miło jest mieć utrwalony na papierze dowód czyjegoś oddania, czyjeś serdeczne wyznania miłosne. Ale widzi pan, Halszka jest mężatką, jak to panu wiadomo. Otóż świadomość, że listy te w jakiś sposób mogą dostać się do rąk jej męża, napędza ją przygnębieniem. Nie, niech pan mi nie przerywa. Wiem oczywiście, że pan tego by nigdy nie zrobił, ale przecież, mój Boże, ktoś może je panu wykraść. Może je pan zgubić. Może pana spotkać jakiś nieszczęśliwy wypadek. Trzeba się z tym liczyć. Wtedy listy dostaną się do rąk ludziom obcym i to może zrujnować życie kobiety, która pana kocha.

Uśmiechnął się i zapalając papierosa, wygodniej rozsiadł się w fotelu. Widziałam, że całe moje przemówienie nie wywarło na nim najmniejszego wrażenia. Czyżby miał tak kamienne serce? ... Z zupełną swobodą zapytał:

– Jeżeli dobrze panią zrozumiałem, chodzi pani o to, bym zwrócił Halszce jej listy.

– Tak. I błagam pana, niech mi pan nie odmawia.

Rozumiem to, że nie posiadam żadnego tytułu, by apelować do szczególniejszej uprzejmości ze strony pana – (tu zrobiłam doń najczulszą minę, na jaką było mnie stać – byłby z drewna, gdyby tego nie odczuł) – ale niech pan spełni moją prośbę.

Spojrzał na mnie spod wółprzymkniętych powiek i uśmiechnął się:

– Wprost przeciwnie. Uważam, że ma pani aż nadto wiele tytułów do szczególniejszych względów. Nie rozumiem tylko, dlaczego Halszka zwraca się o to przez panią. Nie robię jej bynajmniej z tego powodu zarzutów. Jest mi bardzo miło, że mogłam panią poznać. Ale dlaczego nie zwróciła się bezpośrednio do mnie?

– Ach, czyż pan nie wie, jaka ona jest wrażliwa. Może nawet trochę histeryczka – dodałam po namyśle.

– O, czyż trochę?

– No, tak. Ale pan musi zrozumieć, że w takich warunkach trudno jest o spokój nerwów.

– Na miły Bóg, w jakich warunkach?! – zmarszczył brwi jakby ze zniecierpliwieniem.

– No, wtedy, gdy w każdej chwili grozi nieszczęście.

– To jest zupełnie zabawne – powiedział. – Może pani zawiadomić swoją przyjaciółkę, że zwrócę jej listy.

Nie wierzyłam własnym uszom, lecz już w następnej chwili przyszło mi na myśl, że to podstęp: obiecuje mi, że odda, a gdy tylko Halszka zwróci się doń o to, na pewno ją wyśmiej.

– Nie, proszę pana – odezwałam się z naciskiem. – Moja

przyjaciółka prosiła mnie, bym ja te listy odebrała. Nic nie odpowiedział. Wstał, podszedł do biurka, przez chwilę szukał między wieloma papierami. Gdy odwrócił się, trzymał w ręku gruby plik listów.

– Służę pani – powiedział.

Byłam wręcz oszołomiona. Poza tym nie mogłam zrozumieć, dlaczego tych listów jest aż tyle. Pan Tonnor z ironicznym uśmiechem dodał:

– A poza tym chciałbym panią prosić, by pani skłoniła swoją przyjaciółkę do zaprzestania pisywania tych listów. Mam na ogół dużo zajęć i na ten rodzaj literatury brak mi czasu.

– Jak to?

– Więc niech pani przejrzy to. Nie brak tam niczego aż do opisów przyrody włącznie. Pani Halszka niepotrzebnie trudziła panią. Dlaczego to zrobiła, zupełnie nie rozumiem.

Wzięłam do ręki listy. Niewątpliwie był to charakter pisma Halszki. Czułam się tak, jakbym popełniła największy idiotyzm. Wprost nie umiałam znaleźć słów. Gdy tak stałam zażenowana, ten pan najniespodziewaniej w świecie, zanim mogłam się cofnąć, ujął rękami moją głowę i pocałował mnie w same usta.

– Jak pan śmiał?! – zawołałam i spojrzałam nań groźnie.

To beczelny typ. Nie tylko się nie zmieszał, lecz powiedział z uśmiechem:

– Bardzo przepraszam panią. To było z mojej strony swego rodzaju nadużycie. Lecz muszę skonstatować, że nie mogę wzbudzić w sobie z tego powodu uczucia skruchy. Zresztą to

wina pani.

Byłam najszczerzej oburzona.

– Pan jest... Pan jest... To niesłychane! Moja вина!...

– Tak – mówił najspokojniej w świecie. – Nie tylko вина, ale i prowokacja. Niechże pani sama osądzi. Pod jakimś błahym pretekstem przychodzi pani do młodego mężczyzny i w dodatku jest pani śliczna. Takich rzeczy bezkarnie się nie robi.

Wprost oniemiałam, a on mówił dalej:

– Byłoby wprost nieuprzejmie z mojej strony, gdybym udawał, że nie zrozumiałem pani intencji. I jeżeli za coś Halszce jestem wdzięczny, to za to, że właśnie panią do mnie skierowała.

Wprost nie posiadałam się z oburzenia. W pierwszej chwili chciałam natychmiast wyjść, lecz nie mogłam go przecież zostawić z przeświadczeniem, że jego podejrzenia są uzasadnione. Ja, ja! Miałabym się uciekać do takich sposobów, by poznać jeszcze jednego mężczyznę!

Autorka pamiętnika, jak sądzę, myli się tu w ocenie swoich pobudek. Świadomym motorem jej działania, tym, co skłoniło ją do odwiedzenia p. Tonnora, oczywiście była chęć ratowania przyjaciółki. W jej podświadomości jednak na pewno istniało pragnienie poznania człowieka, a ściślej biorąc, mężczyzny z typu tzw. niebezpiecznych mężczyzn czy niebieskich ptaków. Nie robię p. Renowickiej bynajmniej z tego zarzutu i proszę ją, by niniejszego komentarza nie uważała za brak wiary w jej słowa.
(Przypisek T. D. M.)

Gdy spostrzegłam, że moje zapewnienia nie zdołały go przekonać, postanowiłam dokładnie powtórzyć mu moją rozmowę z Halszką. Wysłuchał mnie z dużym zainteresowaniem i, zdaje się, w końcu uwierzył. Śmiał się przy tym bardzo i upewniał mnie, że bynajmniej nie jest jakimś tajemniczym a podstępny poławiaczem serc, że Halszki bynajmniej nie kocha i że pojąć nie może motywów tej całej intrygi.

Przeprosił też mnie za swoje posądzenia, a przepraszał tak miło, że stopniowo przestałam się nań gniewać. Dowiedziałam się od niego kilku rzeczy, przy pomocy których dał mi do zrozumienia, że to raczej Halszka go napastuje. (Swoją drogą z tej Halszki ohydny kłamczuch. Przypuszczam, że opowiedziała mi o tej sprawie tylko dlatego, by mi zaimponować. A może po prostu Paweł zrobił jej scenę zazdrości. Nie pojmuję, jak można interesować się takim Pawłem. Ale dla niej i on jest za dobry).

Później mówił o sobie. Okazało się, że nie jest żadnym hochsztaplerem¹⁷, lecz przedstawicielem kilku firm zagranicznych, że ma swoje biuro, że często wyjeżdża do Francji, Anglii i Niemiec, że ma własny samochód. Ta wariatka na pewno wiedziała o tym wszystkim i pojąć nie umiem, dlaczego zmyśliła o nim tyle głupstw. Okazał się przy tym bardzo dowcipnym i miłym causeurem¹⁸. Jedną tylko prawdę powiedziała o nim Halszka: ten człowiek jest naprawdę bezwzględny. Na przykład

¹⁷ *hochsztapler* (z niem.) – oszust i aferzysta na wielką skalę. [przypis edytorski]

¹⁸ *causeur* a. *kozer* – osoba umiejąca interesująco i dowcipnie rozmawiać; gawędziarz. [przypis edytorski]

rozmawiając ze mną, kilka razy brał moją rękę i trzymał w swoich. Wprost niepodobieństwem było uwolnić się. Trzymał i nie puszczał. Zdawał się zupełnie nie zauważać tego, że usiłuję wyswobodzić rękę. Gawędziło się tak miło, że ani się spostrzegłam, gdy wybiła dziesiąta. Na szczęście on na to zwrócił uwagę, bo wstał i powiedział, że właśnie o dziesiątej ma jakąś sprawę do załatwienia. Podając mi futro, zapytał:

– Kiedy znowu panią zobaczę?

Oczywiście odpowiedziałam, że nigdy i że ma bardzo ładne mieszkanie. Wtedy on powiedział:

– Najczęściej koło szóstej jestem w domu. Będę czekał na pani telefon.

– Żegnam pana – skinęłam mu głową i wyszłam.

Na schodach minęła mnie wcale ładna pani. Nie zwróciłabym na nią uwagi, gdyby nie to, że była świetnie ubrana. Żakiet trois quarts z szynszyli i bardzo zgrabny czarny kapelusik z jaskrawoczerwonym piórem. Miała rude włosy (oczywiście farbowane) i swoją drobną sylwetką w ogóle przypominała Clare Bow¹⁹.

Nie omyliłam się: szła do niego. On musi być strasznym kobieciarzem. Najgorsze z tego wszystkiego to to, że zapomniałam zabrać listy Halszki.

Trudno, będę musiała jeszcze raz być u niego. Gotów Bóg wie

¹⁹ Bow, Clara (1905–1965) – właśc. Clara Gordon Bow; amer. aktorka, ikona kina niemego, symbol seksu kinematografii lat 20. XX w.; charakterystycznymi cechami jej urody były: burza krótkich, kręconych włosów, drobna postura i delikatne rysy twarzy. [przypis edytorski]

co o mnie pomyśleć, ale nie mam na to sposobu.

Dziś w południe poszliśmy z Totem na pokaz nowych modeli futer. Jeden zwłaszcza płaszcz z nurków szalenie mi się podobał. Nawet zapytałam o cenę. Horrendalna: trzydzieści dwa tysiące. Wątpię, czy uda mi się ojca na to naciągnąć. Toto byłby szczęśliwy, gdyby mógł mi te nurki kupić, ale nie mogę od niego przyjmować takich prezentów.

Bardzo sprytnie załatwiłam z nim sprawę stryja Albina. Dochodzę do przekonania, że rzeczywiście nie brak mi inteligencji. Mianowicie dałam mu pięćset złotych i poprosiłam, by na mój rachunek zagrał w pokera, bo śniło mi się, że dużo dla mnie wygra. Pocziwy Toto nie domyślił się żadnego podstępu i zgodził się z entuzjazmem. Obiecał tegoż wieczora pójść do szulerni. Myślę, że stryjowi pięćset złotych wystarczy. Dzwonił koło trzeciej i zakomunikował mi, że żadnych konkretnych nowin nie ma. Zmartwiło mnie to szczerze. Pojutrze wraca Jacek i do tego czasu chciałabym już coś wiedzieć. Jakoś orientować się w sytuacji. Do Halszki nawet nie zatelefonowałam, tak jestem na nią oburzona. Zresztą wiedziałam, że spotkamy się wieczorem na obiedzie u państwa Gawrońskich. Ogromnie jestem ciekawa, jak są ze sobą Topniewscy po tej awanturze z wyjazdem Loli na wieś do Frania Radziwiłła. Żorż porządnie się wówczas ośmieszył i wszyscy mówili o rozwodzie.

Zastanawiałam się, co mam powiedzieć Halszce. Czy dać jej do zrozumienia, że teraz orientuję się świetnie w tym, że mnie okłamała? Na jej miejscu spaliłabym się ze wstydu. Jak ona mi w

oczy spojrzysz! Z drugiej strony nie mogę jej powiedzieć prawdy, bo to zepsułoby nasze stosunki, a wcale nie chcę z nią zrywać. W gruncie rzeczy lubię ją i wiem, że jest dla mnie życzliwa.

Na obiedzie było ponad dwadzieścia osób. Jedzenie dali jak zwykle wyśmienite i doskonałe wina. Siedziałam *vis à vis* Żorża. Robił wrażenie przygnębitego. Za to Lola z wielkim ożywieniem flirtowała z panem domu. Zauważyłam, że Halszka spoza słodkich uśmiechów zerknęła ku mnie wyraźnie zaniepokojona. Nędzna hipokrytka! I w dodatku ma nowy pierścionek z szafirem. Od kogo mogła to dostać?

Gdy tylko wstaliśmy od stołu i znalazłyśmy się przez chwilę na osobności, powiedziała szeptem:

– Nic mi nie mówisz. Umieram z ciekawości. Nie byłeś u niego?

Badawczo patrzyła mi w oczy, a ja zrobiłam dość obojętną minę.

– Owszem, byłam.

– I co? Mówże prędzej!

– Obiecał mi zwrócić twoje listy.

– I myślisz, że dotrzyma?

– Sądzę, że tak. Nie podzielam tylko twego zdania co do gatunku tego pana. Nie wydaje mi się niebieskim ptakiem. Jest zupełnie kulturalny i zachowuje się jak dżentelmen.

W oczach Halszki błysnęło zaniepokojenie.

– Długość u niego była²⁰?

²⁰ *długość u niego była* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: długo

– Kilka minut.

To ją jakby uspokoiło.

– O, moja droga. Dlatego nie podzielasz mego zdania. Gdybyś go poznała tak jak ja...

Wzruszyłam ramionami.

– O, zapewniam cię, że na tym mi nie zależy. Jest rzeczywiście przystojny, ale sama wiesz najlepiej, że jestem wierna Jackowi.

Powiedziałam to umyślnie z naciskiem, by ją podrażnić. Ostatecznie to, że pokazywałam się od dłuższego czasu w towarzystwie Tota, nie może być dowodem mojej niewierności. Toto głośno opowiada wszystkim, że się we mnie kocha, nie pomija żadnej okazji, by powtórzyć to samemu Jackowi. Kiedyś namówiłam go, by prosił Halszkę o wstawiennictwo u mnie. Powtórzył mi całą rozmowę. Zapewniał ją, że umrze z rozpaczy, jeżeli nie zdobędzie moich względów. Halszka z początku nie chciała wierzyć, a później była wściekła. I do dziś dnia nie napomknęła mi o tej rozmowie ani słowem. Do dziś dnia dręczy ją również ciekawość, czy mnie z Totem coś łączy, czy nie. Dobrze jej tak.

– A w jaki sposób zwróci te listy?

– Bądź o nie spokojna – powiedziałam. – Sposób tu nie odgrywa roli. Mogę posłać do niego Józefa lub zwykłego posłańca.

Zrobiłam pauzę i dodałam:

– Ewentualnie wstąpię doń sama. Halszka uśmiechnęła się

zjadliwie.

– Och, widzę, że twoja misja nie sprawiła ci przykrości...

– Wiesz dobrze, że dla ciebie gotowam²¹ na największe. Ten pan wydawał się bardzo zmartwiony, ale ty jesteś pewno szczęśliwa, że go już nigdy nie zobaczysz?

– Dlaczego mam go nigdy nie zobaczyć? – zdziwiła się Halszka.

Ach, jakaż ona jest nieopanowana i naiwna. Gdybym nawet nie wiedziała tego, co usłyszałam od Tonnora, tymi kilku słowami rozwiałaby wszelkie moje wątpliwości.

– Jak to dlaczego? – powiedziałam. – Przecież to jasne. Zwróciwszy listy, nie będzie mógł zmuszać cię dłużej, byś doń przychodziła.

– Ach, oczywiście – połapała się Halszka. – Oczywiście. W każdym razie jestem ci bezgranicznie wdzięczna, Haneczko.

Rozmawiałyśmy jeszcze chwilę o rzeczach obojętnych (*à propos*: pierścionek dostała od swojej babki). Potem wszyscy zasiedli do bridża. Nie przepadam już za tą grą tak jak dawniej i po trzech robrach oświadczyłam, że jestem zmęczona. Wyszliśmy razem z Wackiem Gebethnerem i odwiózł mnie do domu.

Ponieważ kazałam służbie jak najskrupulatniej zapisywać wszystkie telefony, przede wszystkim spojrzałam na kartkę: było kilka nieważnych, lecz między nimi słowa: **Dzwonili z hotelu „Bristol”**.

²¹ *gotowam* – forma skrócona od: gotowa jestem. [przypis edytorski]

Pomimo późnej godziny musiałam obudzić Józefa. Dowiedziałam się od niego, że z „Bristolu” dzwonił portier i zapytywał, kiedy wraca pan Renowicki.

Nareszcie jakiś wyraźny ślad! Więc ona mieszka w „Bristolu”. Oczywiście portier z jej polecenia telefonował. No, teraz stryj Albin będzie miał znacznie ułatwione poszukiwania. Od razu zapowiedziałam, że jutro nie będę w domu ani na obiedzie, ani na kolacji. Muszę być w „Bristolu”.

Przyszło mi na myśl, że Jacek mógł wyjechać za granicę w związku z tą sprawą. Wkrótce musi się to wyjaśnić.

Niedziela

A to ładna historia! Rozbawiło mnie to bardzo, a jednocześnie zmartwiło. Czyż mogłam przewidzieć coś podobnego. Jeszcze przed dziesiątą zadzwonił Toto i zaproponował, byśmy pojechali na spacer do Jabłonny. Zgodziłam się chętnie. Mrozu prawie nie było, a pogoda cudna. Jego olbrzymi mercedes nosi jak kołyska.

Gdy usiadłam obok niego, wydobył z kieszeni plik banknotów i podał mi z triumfującą miną.

– Co to jest? – zdziwiłam się.

– Wygrana – odpowiedział. – Miałas dobre przeczucie. Karta mi szła, jak umarłemu kadzidło. Obębniłem wszystkich. Nawet tego twego marnotrawnego stryjaszka. Odtąd nie siadę do gry bez wzięcia od ciebie jakiejś kwoty na szczęście.

– Toto! Serio wygrałeś? – nie wierzyłam własnym oczom.

– Słowo ci daję – zaśmiał się. – Przeszło trzy tysiące.

Nie chciałam przyjąć. Tłumaczyłam mu, że nie mam do tych pieniędzy żadnego prawa, bo to on wygrał. Wreszcie chciałam, by się ze mną podzielił, lecz zrobił obrażoną minę i oburzył się:

– Grałem twoimi pieniędzmi, grałem dla ciebie i na twoje szczęście. Wygrana należy do ciebie. Jeżeli tego nie weźmiesz, wyrzucę przez okno.

Cóż miałam począć. Ostatecznie taka kwota piechotą nie chodzi. Kupię dla Tota jakiś drobiazg i wszystko będzie w porządku. Ale co zrobić ze stryjem Albinem? Przecie

on rzeczywiście, chcąc śledzić tę kobietę, musi mieć ekstra wydatki. Nie mówiąc już o napiwkach, samo przesiadywanie w restauracjach sporo kosztuje.

Po namyśle zapytałam Tota:

– Czy ten pan Albin Niementowski dużo przegrał? – (Na życzenie ojca wszyscy w rodzinie, ilekroć nie mogli uniknąć wzmianki o stryju, musieli go koniecznie nazywać „tym panem Niementowskim” dla podkreślenia, że nic nas z nim nie łączy).

– Nie wiem, nie uważałem, sądzę, że niewiele, jakieś kilkaset złotych. On się nigdy nie hazarduje, a gra znakomicie. I wiesz co? Teraz już nie wierzę tym plotkom, które o nim krążą. Gdyby był szulerem, nie przegrałby przecie. Ludzie zbyt łatwo oczerniają tych wszystkich, którym się kiedyś noga powinęła.

Bardzo mi się podoba u Tota ta jego wyrozumiałość. Tym bardziej teraz byłam mu za nią wdzięczna, bo nie ukrywam tego, że lubię stryja. Niestety, wiedziałam aż nazbyt dobrze, że Toto myli się. Mama mi mówiła, że kiedyś nawet przyłapano stryja w jakimś kasynie czy klubie. Podczas rozdawania kart od niechcienia kładł przed sobą złotą papierośnicę, a ta była tak wypolerowana, że widział w niej jak w lustrze wszystkie karty. Wynikł wtedy skandal i stryja omal drugi raz nie wsadzono do więzienia. Skończyło się na tym, że musiał zwrócić wszystkie wygrane pieniądze i że zabroniono mu wstępu do kasyna. Było to co prawda gdzieś za granicą, ale trudno łudzić się, że w kraju robi coś innego. Nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego wczoraj przegrał.

Pani Renowicka myli się sądząc, że szulerom nieodmiennie muszą sprzyjać karty. Dość często się zdarza, że z różnych względów nie udają się im różne machinacje. *Errare humanum est*²². (Przypisek T. D. M.)

Po spacerze musiałam wobec tego wrócić do domu i zrezygnować z kawiarni, na którą namawiał mnie Toto. Przewidywałam, że stryj Albin zatelefonuje, i nie omyliłam się. Poprosiłam go od razu, by natychmiast przyszedł.

Zjawił się po kwadransie i miał bardzo kwaśną minę.

– Na pewno już mówił ci twój cicisbej²³ – odezwał się, witając się ze mną – na pewno ci mówił, że wczoraj zgrałem się do nitki?

– Owszem, wspominał, że nie szła stryjowi karta.

– Prześladowuje mnie ostatnio pech. Przyznam ci się, że jestem prawie bez grosza.

Postanowiłam zmusić go, by przyjął ode mnie pieniądze. Oczywiście nie mogłam mu się przyznać, że jego przegrana znajduje się w mojej torebce, ale zaproponowałam mu pożyczkę.

– Przecie pożyczkę stryj może przyjąć bez złamania swoich zasad. Nie robi mi ona najmniejszej różnicy.

– Nie, nie – upierał się – od kobiety pieniędzy nie przyjmuję. Zresztą można pożyczyć tylko wtedy, gdy się ma pewność, że się będzie miało z czego oddać.

– Ach, stryju – perswadowałam. – Skądże ten pesymizm!

²² *errare humanum est* (łac.) – błędzenie jest rzeczą ludzką. [przypis edytorski]

²³ *cicisbej* (wł. *cicisbeo*, *cavaliere servente*) – przyjaciel domu adorujący panią domu. [przypis edytorski]

Zwykle przecie stryj wygrywa. A dla mnie ta rzecz wcale nie jest pilna. Może mi stryj oddać za rok, za dwa, kiedy stryj będzie miał. Przez ten upór nasze śledztwo się opóźni. A poza tym, czy to ładnie ze strony stryja: ja nie zawahałam się ani chwili, gdy prosiłam stryja o pomoc, a ode mnie stryj nie chce przyjąć takiej drobnej usługi jak pożyczka.

Wreszcie dał się przekonać. Wręczyłam mu tysiąc złotych, a on wypisał mi najnormalniejsze pokwitowanie, chociaż usiłowałam odwieść go od tego. I ci mężczyźni ośmielają się pokpiwać z kobiecej logiki! Uważa za hańbę pożyczanie od kobiet, ale uwieść którą lub oszukać ją w grze, to dla niego rzecz nienastęrczająca żadnych obiekcji etycznych. Dziwne stworzenia.

Teraz dopiero poinformowałam stryja o swoim odkryciu, o tym, że ona mieszka w „Bristolu”. Ku memu zmartwieniu nie uważał tego za pewnik.

– Wcale nie wiadomo – pokręcił głową. – Przecie portier mógł równie dobrze dzwonić z polecenia któregoś ze znajomych Jacka. Wielu waszych znajomych zatrzymuje się w tym hotelu. Mógł to być ktoś z dyplomacji albo jacyś krewni ze wsi.

– Ale mogła być również i ona.

– Zapewne. Toteż nie ominę, ma się rozumieć, tego śladu, jak nie pomijam żadnego. Wprost stąd jadę, by wypytać portiera. Musisz mi jednak podać dokładną godzinę tego telefonu. Portierzy zmieniają się, mają swoje dyżury. Ich pomocnicy również.

– Zaraz zapytam Józefa – powiedziałam i omal nie nacisnęłam dzwonka. Na szczęście w porę przypomniałam sobie, że nikt ze służby nie powinien wiedzieć o wizytach stryja u mnie. Natychmiast doszłoby do ojca i miałabym okropną awanturę.

Poprosiłam stryja, by czekał, i poszłam wypytać Józefa. Niestety, nie pamiętał dokładnie, wiedział tylko, że było to koło dziesiątej.

Podczas gdy byłam w kredensie, stało się jednak to, co powinnam była przewidzieć: do salonu wpakowała się ciotka Magdalena. Zajrzała, powiedziała „przepraszam” i wyszła, ale na pewno zdążyła przyjrzeć się stryjowi. Wprawdzie nie zna go i nigdy go przedtem nie widziała, ale jest taką plotkarką, że nie omieszka zrobić z tego wielkiej historii. Żałuję teraz, że zgodziłam się, gdy Jacek mię prosił, by sprowadzić tę jego ciotunię ze wsi. Ostatecznie gospodarstwem i tak zajmuje się mało, a tyle przez nią różnych kwasów w domu.

Gdy tylko wyprawiłam stryja, już czekała na mnie w gabinecie. Trzeba było szybko wymyślić jakieś kłamstwo...

– Któż to był ten przystojny pan? – zapytała ciotka Magdalena.

– Ach, to nic ważnego – odpowiedziałam tonem jak najbardziej obojętnym. – Przyszedł w sprawie tego placu na Żoliborzu. Powiedziałam mu, że męża nie ma w Warszawie i że ja się w interesach nie orientuję.

Ciotka spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Nie wyglądał na pośrednika. Raczej na kogoś z arystokracji. Wzruszyłam ramionami.

– Moja ciociu. Dziś wiele osób z towarzystwa zarobkuje w dziwny sposób. A jeżeli się przyzwolicie wygląda, to prawdopodobnie łatwiej jest zarobkować.

Chcąc zaś obrzydzić ciotce ten temat, dodałam:

– Szkoda, że mi ciocia nie powiedziała, że ten człowiek tak ciocię bardzo zainteresował. Byłabym go cioci przedstawiła.

– Trzymają się ciebie niewczesne żarty – mruknęła ciotka Magdalena i wyszła.

Ponieważ umówiłam się z Totem na trzecią, postanowiłam zrobić mu porządną kawę i zatelefonowałam do Muszki Zdrojewskiej. Na szczęście zastałam ją w domu. Byłyśmy dla siebie tak słodkie jak dwa kawałki cukru. (Zawsze mówiłam, że ona jest obłudna). Zaprosiłam ją na obiad do „Bristolu”, nie wspominając wcale o Toci i mówiąc, że będzie Dominik Mirski i może ktoś z jego przyjaciół. Oczywiście nie mogła mi odmówić. W pół godziny później zajechałam po nią samochodem. Wprost nacieszyć się nie mogłam jej wyglądem: miała fatalnie zrobione brwi i wprost niemożliwy kapelusz. Niechże Toto przyjrzy się nam jednocześnie. Więcej niczego nie pragnę.

Mirski i Toto czekali na nas w hallu, przy czym nastrój od razu stał się kwaśny. Mirski jest pedantem i irytował się z powodu naszego rzekomo półgodzinnego spóźnienia. Toto był zaskoczony zjawieniem się wraz ze mną Muszki. Robił takie miny, jak indyk przełykający gałki. Na nic innego nie zasłużył.

Na sali był niemożliwy tłok. Gdyby nie zarezerwowany stolik

Tota, musieliśmy odejść z kwitkiem. Znajomych mnóstwo. Zwłaszcza ze wsi. W takim tłoku niepodobna było wypatrzeć osoby, dla której tu przyszedłam. Zajął się wobec tego Muszka, obsypując ją zachwytemi tak przesadnymi, że trzeba być tak naiwną jak ona, by wszystko wziąć za dobrą monetę. Co parę zdań odwoływałam się do opinii Tota i on skręcał się niby korkociąg, a musiał przecież potwierdzać moje komplementy. Była to naprawdę świetna zabawa. Przerwała mi ją Danka, która najniespodziewaniej zjawiła się w „Bristolu”, i to w towarzystwie narzeczonego i jego siostry. Okazało się, że do tej „jaskini hulaków, próżniaków i marnotrawców”, gdzie nigdy nie powstałby ani jedna z czterech nóg tej zakochanej pary, przyszli na skutek klęski żywiołowej. Mianowicie Danka była zaproszona na obiad do matki Stanisława, lecz ich kucharka dostała nagle okropnego zapalenia okostnej. W tych warunkach nie chciała słyszeć o przyrządzaniu obiadu i matka Stanisława wysłała swoją trójkę do „Bristolu”.

Moje stosunki z Danką nigdy nie należały do najserdeczniejszych. Stanowczo nie mogłybyśmy uchodzić za wzór dla innych sióstr. Nawet gdy byłyśmy obie małymi dziewczynkami, obie z jednakową niechęcią protestowałyśmy przeciw noszeniu jednakowych sukienek. Chociaż dzieli nas różnica tylko dwóch lat (Danka jest młodsza, ale wszyscy twierdzą, że wygląda starzej ode mnie), zarówno temperamentami, jak i usposobieniem różnimy się od siebie diametralnie. Ona nigdy nie lubiła tańca, zabaw, podróży.

Do teatru chodzi tylko na *Dziady*, na Wyspiańskiego, uważa za arcydzieło *Przepióreczkę* Żeromskiego i za szczególniejszą perłę w tym arcydziele Juliusza Osterwę. (Nie chcę być źle zrozumiana. Osobiście przepadam za panem Juliuszem, czego zresztą nigdy przed nim nie ukrywałam, ale na *Przepióreczce* byłam raz i nudziłam się potwornie). Danka wreszcie nie rozumie życia innego niż jakieś zebrania, wiece, stowarzyszenia, zjednoczenia i podobne okropieństwa. Wciąż dążyłaby ku... Wciąż pracowałaby nad rozwojem... Wciąż ujmowałaby w ramy organizacyjne...

Nie robię jej bynajmniej z tego zarzutu. Ostatecznie każdemu wolno robić to, co mu sprawia przyjemność. Po prostu nie pasujemy do siebie. Nie sądzę, by po założeniu ogniska domowego zapraszali mnie zbyt często do siebie. Ale wyobrażam sobie, jaką machiną tortur będzie ten ich dom dla mnie. Bo z tym Stasiem dobrali się w korcu maku. Moim zdaniem już sama jego aparycja jest irytująca. Wysoki, chudy, nordyk, o tak zwanej „płowej czuprynie” i wyniosłym czole. On nigdy nie mówi. Zawsze albo gromi, albo potępia, albo podnosi, albo się domaga, albo wskazuje. Robi takie wrażenie, jakby w każdej chwili był gotów wejść z podniesioną głową na stos i bez mrugnięcia powieką dać się spalić wraz z bagażem swoich przekonań. Przyznam się, że nic mu nie mam do zarzucenia. Jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, podobno świetnie prowadzi swoją fabrykę i robi dużo dobrego ludziom. Co do jego kindersztuby²⁴,

²⁴ *kindersztuba* – wychowanie, dobre maniery, obycie towarzyskie; umiejętność

też nie można mieć zastrzeżeń. To, że pochodzi z rodziny mieszczańskiej, dla mnie osobiście nie odgrywa żadnej roli. Tak samo jak nie imponują mi moje arystokratyczne pokrewieństwa przez mamę. Mówiąc krótko, Stanisław nie jest dla mnie atrakcyjny. A już taki Toto czuje się w jego obecności wręcz poskromiony.

Ponieważ nie mogli znaleźć wolnego stolika, musieliśmy ich zaprosić do swego. Jedyłą pociechą była Lula, zwana przez złośliwych „świętą Leonią” (imię naprawdę przygnębiające!). Znałam ją stosunkowo mało. Stanisław rzadko się z nią pokazywał. W każdym razie była bez wątpienia najmilszą z wszystkich starych panien, jakie udało mi się spotkać. Ogólnie wiadano, że w młodości przeżyła dramat, bo jej narzeczony zginął na froncie w 1920 roku i od tego czasu ani na dzień jeden nie zdjęła po nim żałoby. Co za anachronizm! Zupełnie historia żywcem wyjęta z czasów powstania styczniowego.

Lula swoim wyglądem przypominała postać kobiecą z *Polonii* Grottgera²⁵. W obcowaniu jednak była ujmująca.

zachowania się wpajana w procesie wychowania od dziecka (stąd nazwa). [przypis edytorski]

²⁵ „*Polonia*” Grottgera – cykl dziewięciu czarno-białych rysunków autorstwa polskiego malarza i ilustratora okresu romantyzmu, Artura Grottgera (1837–1867), przedstawiających sceny z powstania styczniowego w Królestwie Polskim z 1863 r. (drugą część cyklu stanowi *Lithuania*, zbiór prac powstałych w l. 1864–1866, poświęconych powstaniu na Litwie). Cykl *Polonia* składa się z dziewięciu prac: *Obraz symboliczny Polski*, *Branka*, *Kucie kos*, *Bitwa*, *Schronisko*, *Obrona dworu*, *Po odejściu wroga*, *Żałobne wieści*, *Na pobojuwisku*. Wzmianka o postaci kobiecej z *Polonii* Grottgera może odnosić się do typu kobiecego występującego w kilku pracach cyklu

Co za skarby subtelności muszą się kryć w tej kobiecie! Nigdy nie widziałam jej twarzy bez uśmiechu. Nigdy w jej oczach nie dostrzegłam złośliwości, nieżyczliwości lub chociażby krytyki. W rozmowie była uprzejma, tolerancyjna i dowcipna, tym cokolwiek staroświeckim rodzajem dowcipu, zanadto finezyjnym, okrągłym i bezosobistym. Pomimo opinii „świętej Leonii” nie unikała żadnych tematów, a przynajmniej nie gorszyła się nimi. Chociaż musiała już przekroczyć czterdziestkę, wprost biła od niej świeżość.

Nad rozmową od razu zadominował Stanisław, opowiadając o ostatnich zdarzeniach politycznych.

O ile polityka zagraniczna interesuje mnie przez wzgląd na Jacka, który często ze mną mówi o różnych zdarzeniach dyplomatycznych, o tyle na wewnętrznej się nie znam, Stanisław zaś po uszy w niej siedzi.

Korzystając z tego, że rozmowa przybrała charakter ogólny, zapytałam Dankę, co słysząc w domu. Nie byłam u rodziców już prawie od tygodnia i poza kilku telefonami do mamy nie komunikowałam się z nimi. Danką oświadczyła mi (Danka nigdy

(postać biała, w żałobnej czerni, z załamanymi rękoma) lub do otwierającego cykl rysunku z karty tytułowej, przedstawiający alegorię zniewolonej Polski. Jest to siedząca wśród ruin żałobna postać kobieca spowita w ciemną, zakrywającą ją całkowicie, wraz z twarzą szatę z kapturem; za jej plecami na murze wypisane jest ręcznie słowo „Polonia”, najwymowniejszą teść niesie ze sobą widok jej skrzyconych dramatycznie dłoni tkwiących w dybach (przy tym Polonii towarzyszą trzej nadzy młodzieńcy: jeden w czapce frygijskiej, stanowiącej symbol wolności i rewolucji, oswobadzający ją właśnie z kajdan oraz dwaj siedzący u jej stóp i spoglądający w dal, w przyszłość).
[przypis edytorski]

nie mówi, lecz zawsze oświadcza), że ojciec czuł się urażony wyjazdem Jacka bez pożegnania. Poza tym żadnych nowin. Ojciec prowadzi teraz jakiś olbrzymi proces o rewindykację dóbr skonfiskowanych w 63 roku i jest tym całkowicie zaabsorbowany. W przyszłym tygodniu wybiera się na wieś, gdzie ma być wielkie polowanie na wilki.

– Jeżeli chcesz ojca zobaczyć, musisz wpaść jutro do domu. Stanowczo bywasz w domu zbyt rzadko.

W jej spojrzeniu była nagana. Wiem dobrze, czego nie dopowiedziała. Chciała mi dać do zrozumienia, że bywam tylko wtedy, gdy skłania mnie do tego własny interes. Byłoby stratą czasu tłumaczyć jej, że jest inaczej. Że nie tęsknię za domem, bo po pierwsze, mam własny, a po drugie, nudzę się u nich. Bardzo szanuję ojca i bardzo kocham mamę. Zapewne, mama nie odznacza się błyskotliwym umysłem, ale to jeszcze nie powód, by, jak stryj Albin, uważać ją za zupełnie głupią.

Inna rzecz, że sprawy ją zajmujące mogą mnie nie interesować. Czasami też wpada w roztargnienie, z którego później rodzą się anegdotki o niej. Ludzie skorzy są do wyśmiewania innych, ilekroć nadarzy się im ku temu sposobność. Nawet o ojcu przecież opowiadano, że odpowiadając na toast podczas swego jubileuszowego bankietu zaczął od słów: „Wysoki Sądzie”, a trudno wyobrazić sobie poważniejszego człowieka niż on. Człowieka nie tylko zupełnie pozbawionego śmiesznostek, ale wprost przytłaczającego swoim dostojeństwem.

Można to cenić, można szanować, ale wytrzymać z tym jest naprawdę trochę trudno. Atmosfery domowej miałam dość do zamążpójścia. I poza wszystkim innym w razie katastrofalnego rozwiązania sprawy Jacka dreszczem mnie przejmuje myśl, że musiałabym wrócić do rodziców.

Dziś już chyba nie potrafiłabym żyć w tych warunkach.

Ani w Warszawie, ani w Hołdowie. W Hołdowie o tyle jeszcze jest lepiej, że ma się do czynienia albo z mamą, albo z ojcem. Bo albo mama wyjeżdża do Vichy, albo ojciec do Karlsbadu. Za to przyjeżdżają dość mili sąsiedzi. Są zawsze jakieś bridże, polowania i przynajmniej trochę swobody. Na Wiejskiej zaś wszystko się celebruje. Taka Danką wyrosła w tej atmosferze i czuje się w niej znakomicie. Dlaczego ja jestem inna? Nieraz się nad tym zastanawiałam.

Nie mam specjalnego pędu do zabaw i rozrywek. Raczej chodzi mi o ludzi. O inny typ ludzi. Zdaję sobie sprawę, że ci moi, obiektywnie rzecz biorąc, są może mniej wartościowi. Może ze społecznego i kulturalnego stanowiska wnoszą w życie mniej, ale są swobodniejsi, są weselsi i bez koturnów.

Ubiegłej wiosny poznałam na Riwierze tego znakomitego Edwarda Heriot²⁶. Przecież to jest też człowiek bardzo poważny, kilka razy był premierem, przewodniczącym parlamentu, a

²⁶ Heriot, Édouard (1872–1957) – fr. polityk partii radykalnej, premier Francji (1924–1925, 1926, 1932), mer Lyonu 1905–1957, z wyjątkiem lat 1942–45, gdy został karnie usunięty z urzędu przez Philippe'a Pétaina za niesubordynację wobec rządu Vichy. [przypis edytorski]

nawet po kadencji prezydenta Lebrun²⁷ ma zająć jego miejsce. A jednak w towarzystwie nie mówi o rzeczach nudnych i potrafi być bardzo zabawny. Dlaczego u nas tacy panowie uważają za swój widocznie święty obowiązek obnosić się ze swoją powagą i przytłaczać nią wszystkich. Wyzbywają się jej tylko wtedy, gdy są sam na sam z kobietą, którą emablują. Mój Boże, jacyż bywają wtedy śmieszni. Przez sam kontrast. „Szaleję za panią”, „Całe życie mógłbym całować takie nóżki”. Dobrze jeszcze, jeżeli nie mówią „Słoneczko ty moje” albo „Zjadłbym cię z kosteczkami”. Gdy za chwilę ktoś wejdzie do pokoju, taki pan chrząka i już jego twarz jest zakuta w marmurze.

Pękałam nieraz ze śmiechu, wyobrażając sobie ojca w takiej sytuacji. Nie wiem, czy ma teraz jakąś przyjaciółkę, ale nie chce mi się wierzyć, by przez całe życie był wierny mamie. Nie chce mi się wierzyć dlatego właśnie, że mama tak często i z takim zachwytem o tym mówi. Ta jego siwa bródka i rogowe okulary, i te ruchy profesjonalne. Jakby to wszystko wyglądało w przytulnym mieszkanku jakiejś Dziubutki! Może zresztą ma rację mama, że on jej nie zdradza. Nie znaczy to, by nie chciał, lecz człowiek przecież może być uniesiony prądem własnych przekonań w kierunku przeciwnym od własnych upodobań.

Swoją drogą wstąpię jutro do rodziców. Przy sposobności

²⁷ *Lebrun, Albert* (1871–1950) – fr. polityk lewicowy, prezydent Francji w l. 1932–1940; jego następcą został Philippe Pétain, tworząc podporządkowany hitlerowskiej Rzeszy rząd Vichy (zaś na emigracji w Londynie za następcę Lebruna można uznać skonfliktowanego z Pétainem Charlesa de Gaulle'a, przywódcę Wolnej Francji). [przypis edytorski]

zajrzę do biblioteki i znajdę tam ten paragraf. Ciekawa jestem, jaka kara grozi za bigamię.

Sala zaczęła się przerzedzać. Zobaczyłam teraz stryja Albina. Siedział z jakimś młodym człowiekiem o niezbyt zajmującej powierzchowności przy stoliku koło okna i coś pisał na kartce. Byłam przekonana, że to jest coś w związku z naszą sprawą.

Istotnie, gdyśmy wychodzili z hallu, boy wręczył mi złożoną kartkę. Zrobił to tak zręcznie, że na szczęście nikt nie zauważył. Udając, że szukam czegoś w torebce, przeczytałam ją. Zaledwie zdołałam ukryć wrażenie. Stryj Albin pisał:

Mam wiadomości. Osobą, która poleciła portierowi telefonować do Twego domu, była miss Elisabeth Normann, Angielka, niewładająca żadnym innym językiem poza ojczystym. Przybyła do Warszawy dnia 22 grudnia ub. r. Turystka. Jedź do domu i czekaj na mój telefon.

Byłam rozczarowana. Albo portier informując stryja omylił się, albo zaszło tu jakieś nieporozumienie. Kobieta, która pisała do Jacka, znała doskonale język polski. To jedno. Secundo, podpisała się literą B., podczas gdy jej inicjały składają się z liter E. i N.

Oczywiście poprosiłam, by natychmiast mnie odwieźli do domu, chociaż początkowo zgodziłam się na zaproszenie Stanisława, by na kawę pojechać do jego matki. Przyjęłam to zaproszenie tylko dlatego, że Stanisław czuł się zobowiązany do rewanżu, ponieważ w „Bristolu” wszystko zapłacił Toto. Praktyczniej było zgodzić się na czarną kawę, niż narażać się na

to, że przy swoim pedantyzmie Stanisław zaprosi nas kiedyś na obiad. W domu nie czekałam długo na telefon stryja. Powiedział mi wszystko dokładnie. Otóż nie ulegało żadnej wątpliwości, że o to, czy Jacek przyjechał, pytała owa panna Normann. Portier przypominał to sobie z całą dokładnością. Natomiast zdaniem stryja było rzeczą bardzo możliwą, że panna Normann nie ma nic wspólnego z interesującą nas kobietą. Mogła po prostu znać Jacka za granicą lub nawet spotkać go w Warszawie w jednej ambasad.

W każdym razie nie należało porzucać tego śladu i stryj obiecał, że najdalej w ciągu dwudziestu czterech godzin będzie wiedział z pewnością, kim jest panna Normann i jak wygląda.

Powiedziałam stryjowi:

– Przeczucie mi mówi, że jeżeli to nie ona, to w każdym razie w jakiś sposób jest z nią związana. Niech stryj, na miły Bóg, dobrze to sprawdzi. Bo ostatecznie taka szantażystka może udawać, że nie umie po polsku. Niech stryj wierzy w moje przeczucia.

Zaśmiał się.

– W każdym razie wezmę je pod uwagę, moja mała. To, co wiem o niej dotychczas, nie zdaje się jednak twoich przeczuc potwierdzać. Zrobię wszystko...

Nasza rozmowa została nagle przerwana. Włączyła się stacja międzymiastowa i zapowiedziała Paryż.

Więc jednak pojechał do Paryża!

Po kilku „halo”, „halo” – usłyszałam Jacka. Zapytał najpierw,

jak się czuję, później powiedział, że tęskni za mną i że przez cały czas był bardzo zajęty, zapowiedział, że ważne sprawy zatrzymają go jeszcze na dni kilka w Paryżu. Dotychczas jego telefon nie różnił się niczym od zwykłych. Ale zaraz później zapytał:

– Cóż tam u ciebie, Haneczko, nic nowego nie zaszło?

– Nic. A cóż by mogło zajść?

Zawahał się przez ułamek sekundy i odpowiedział:

– No, to w porządku. Bądź zdrowa, pamiętaj o mnie i nie myśl o mnie źle w żadnym wypadku.

To już było aż nazbyt wyraźne.

– Dlaczego miałabym o tobie myśleć źle?... I w jakim wypadku?...

Zmieszał się trochę. Jego głos zabrzmiał niepewnie:

– No może sadzisz, że ja tu sobie bawię się i dlatego odkładam powrót.

– Wcale tak nie sędzę – odpowiedziałam, skandując słowa.

To musiało go zastanowić, ale odezwał się swobodnie:

– Jesteś najcudowniejszą żoną na świecie. I wierz mi, pracuję jak koń od rana do wieczora. Do widzenia, kochana. I ukłony od wszystkich znajomych. Pa, pa.

– Do widzenia, Jacku. Dziękuję ci.

Położyłam słuchawkę i nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Więc jednak nie uciekł ode mnie! Więc jednak mnie kocha! Kto wie, może ta zwłoka w powrocie znajduje się w związku z tym jego skandalicznym małżeństwem?... W każdym razie rozmowa

ta bardzo mnie uspokoiła. Zresztą opóźnienie przyjazdu Jacka było mi na rękę. Nie ze względu, broń Boże, na Tota, lecz na tę panią. Czy rzeczywiście intuicja mnie zawiedzie? Czy owa miss Elisabeth Normann jest jego pierwszą żoną?...

Sprawa różnicy jej inicjałów z podpisaną pod listem literą B. nie wydała mi się nagle czymś sprzecznym. Litera B. mogła powstać ze skrótu, ze zdrobnienia jej imienia: Bessy, Betsey, Beth, Bes lub Betty. Anglicy bardzo często w ten sposób zdrabiają swoje Elżbiety. Jak wygląda – to najważniejsze. Starsza jest ode mnie na pewno, ale czy jest dość ładna, by ze mną rywalizować? Należało bowiem brać pod uwagę, że istotne dla sprawy było nie tylko to, czy ona da się zlikwidować przez wpłacenie jej jakiejś większej sumy pieniędzy, lecz i to, czy Jacek nie zechce do niej wrócić. Z telefonu mogłam wywnioskować, że nie ma takiego zamiaru. Kto wie jednak, czy ta okropna kobieta nie potrafi wpłynąć na zmianę jego postanowień? Tak czy owak, myli się, jeżeli sądzi, że łatwo zrezygnuję ze swoich praw! W ostatecznej konieczności nie zawaham się nawet przed skandalem. Nawet przed wciągnięciem w to ojca.

Mój dobry nastrój zepsuła refleksja: gdy ona przed laty opuściła Jacka, Jacek musiał się w niej kochać lub przynajmniej działała nań tak silnie, że została w jego pamięci jako coś zdobytego i utraconego, a zatem tym bardziej pożądanego. Trudno przewidzieć, czy obecnie nie odżyje w nim to uczucie?

W rozmyślaniach tych przeszkadzała mi ciotka Magdalena,

która usłysawszy telefon międzynarodowy przyszła, by mnie zanudzić swymi pytaniami: A co Jacek robi? A co mówił? A kiedy wróci? Nie mogłam się jej pozbyć, a już było piętnaście po szóstej. O szóstej przecież miałam dzwonić do pana Tonnora. Wreszcie znalazłam sposób na wystraszenie jej. Przypomniałam sobie, że okropnie boi się objawów choroby morskiej i powiedziałam:

– Wie ciocia, że dziś na obiad musiałam zjeść coś niedobrego. Odczuwam takie mdłości...

Zrobiłam przy tym minę, ilustrującą moje zapewnienie aż nadto dobitnie. Przybladła z lekka i natychmiast wstała. Nie patrząc na mnie zawołała:

– Moja droga, więc zażyj czym prędzej jakieś lekarstwo! I może się położyć. Albo wyjdź na świeże powietrze... Wybacz, ale mam coś do załatwienia.

Gdy już była przy drzwiach, udałam czkawkę. Nie mogłam sobie odmówić tej przyjemności. Ciotka przyśpieszyła kroku jak koń podcięty batem. Przy końcu jadalni już prawie kłusowała.

 Nie skreślając tego ustępu z pamiętnika p. Renowickiej, pragnę jednak wyraźnie zaznaczyć, że nie pochwalam bynajmniej takiego właśnie ustosunkowania się autorki do ciotki własnego męża. W ogóle straszenie ciotek przy pomocy symulowania nieprzyjemnych objawów fizjologicznych jest metodą od dawna zarzuconą i w większości wypadków, jak to nieraz miałem możliwość sprawdzić, nieskuteczną. Ciotka, jako taka, z natury swojej raczej skłonna jest do udzielenia pomocy osobom sobie

bliskim w razie jakichkolwiek zaburzeń w ich organizmie niż do ucieczki. Czyni to – powiedziałbym – z dość znaczną nawet lubością. (Przypisek T. D. M.)

Bałam się, że go już nie zastanę. Jednak był w domu i od razu poznał mnie po głosie. Powiedział:

– Oczekiwałem pani telefonu.

– Niech pan nie sądzi – zaakcentowałam – że dzwoniłabym do pana, gdybym nie zapomniała u pana listów Halszki. Chodzi mi o nie i wyłącznie o nie.

– Oooo – odezwał się swoim przyjemnym barytonem. – Nigdy nie ośmieliłbym się przypuścić, że zechce pani o mnie pamiętać z jakichkolwiek innych powodów.

W jego tonie wyczuwała się pewnośc siebie i postanowiłam go skarcić.

– Ta skromność dobrze świadczy o pańskim poczuciu rzeczywistości. Ale to do rzeczy nie należy. Mam właśnie odrobinę czasu. Nie chciałabym posyłać nikogo ze służby, gdyż na niczyjej dyskrecji nie można polegać. Wolałabym to załatwić sama.

– I ja jestem tego samego zdania, proszę pani.

– Czy mogłabym do pana wstąpić teraz? To znaczy za jakieś pół godziny.

– Uprzejmie panią proszę.

Ubrałam się w tę moją śliczną granatową z nikłym białym deseniem sukienkę. Wprawdzie miałam ją już na sobie kilkanaście razy, ale to w danym wypadku nie odgrywało roli,

gdyż on jej nie widział. Do tego o trzy tony jaśniejszy kapelusz, stylizowany według kepi żuawów, i popielice. Popielice mnie odmładzają. W brajtszwancach, w których byłam u niego za pierwszym razem, wyglądałam wprawdzie znacznie szczuplej, ale i poważniej. Uperfumowałam się „Voyage de nocés”. Maja dość ostry i drażniący zapach.

Znowu sam otworzył mi drzwi. Przywitał mnie jak dobry znajomy. Ci uwodziciele zawodowi umieją jednak obchodzić się z kobietami. W jego oczach widziałam, że zauważył każdy szczegół mego stroju i że wszystko mu się podobało. Od razu poczułam się pewniej. W pokoju, w którym byłam, tym razem panował nieład. Na tapczanie, na stolikach, na fotelach leżało wiele płyt gramofonowych.

– Przepraszam panią za nieporządek. Właśnie przed godziną otrzymałem nowe płyty z Londynu. I przegrywam je sobie. Zaraz to uprzątnę. Niektóre – znakomite. Lubi pani gramofon?

Nie miałam powodu zaprzeczyć.

– To dobrze, że mamy jednakowe upodobania. Niech pani posłucha tego.

Puścił rzeczywiście ładną płytę, której jeszcze nie znałam.

– To są ostatnie rzeczy – wyjaśniał, zbierając pozostałe i układając je na półkach przy gramofonie. – Są ludzie, którzy uważają, że do śpiewu najlepszym językiem jest włoski. Osobiście nie podzielam tego zdania. Każda melodia, każdy rodzaj faktury muzycznej wymaga innego języka. Niech pani sobie na przykład wyobrazi polskie kujawiaki śpiewane po

niemiecku albo hiszpańskie bolera po angielsku. Prawda?... Czy to pani własność ten piękny mercedes, w którym panią dziś rano widziałem na modlińskiej szosie?

– Widział mnie pan?

– W przelocie. Obok pani siedział dżentelmen, któremu jednak nie zdążyłem się przyjrzeć. Żałuję bardzo. Poznałbym pani gust. Niestety, miałem zbyt wielką szybkość... I tak omal przez panią nie wpadłem na furmankę.

Zrobiłam obojętną minę.

– Jeżeli pan przygląda się wszystkim kobietom w mijanych samochodach, kiedyś spotka to pana na pewno.

– Widzę, że uważa mnie pani za donżuana?

– Za donżuana?... O, proszę pana. To już byłaby bardzo wysoka ranga w tej kategorii. Powiedzmy, za uwodziciela.

– Myli się pani. W ciągu mego niezbyt krótkiego życia poznałem wielu mężczyzn. Lecz nie widziałem jeszcze ani jednego uwodziciela. Byłbym dumny, gdybym mógł siebie uważać za wyjątek. Niechże mnie pani przynajmniej nauczysz, co trzeba robić, ty w tej kategorii zyskać chociaż tę najniższą rangę.

Pochylił się lekko do mnie i z uśmiechem w oczach przyglądał mi się w jakiś dziwny sposób. Przywołałam siebie do porządku i skierowałam rozmowę na bezpieczniejszy teren.

– Nie mam zdolności pedagogicznych. I zapewniam pana, że nie w tym celu zabieram panu czas. Przyszłam tu, by odebrać listy mojej przyjaciółki.

– Ach, prawda. Listy.

Wstał bez pośpiechu i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Wrócił jednak nie z listami, lecz z butelką i z dwoma dużymi kieliszkami.

– Co do listów – zaczął – sprawa się nieco skomplikowała. Czy pozwoli pani filiżankę kawy?... Nie czekając na moją odpowiedź, nacisnął dzwonek.

– Bardzo dziękuję panu, ale ja się śpieszę.

– Brałem to pod uwagę i dlatego kawa już jest gotowa. Więc widzi pani, miałem najlepszą wolę oddać pani te listy. Niestety, zaszała okoliczność, która pokrzyżowała moje plany. Czy pani mówi po francusku?

Połapałam się od razu, dlaczego zadał to pytanie. Gdzieś w głębi otworzyły się drzwi i po chwili weszła pokojówka z tacą. Byłam zaskoczona jej wyglądem. Stanowczo to jest nieprzyzwoitość, by kawaler trzymał u siebie taką pokojówkę. Zapewne nie była klasyczną piękną (dziewczyny tego typu bardzo wcześniej brzydną), ale teraz wyglądała niesłychanie dodatnio. Drobna brunetka o zadartym nosku i ślicznej karnacji. Zachowywała się jak urodzona i wytrawna kokietka, chociaż nie mogła jeszcze mieć lat dwudziestu. Co gorsza, każdy jej ruch sprawiał wrażenie zupełnie naturalnego. Powinna być wydana jakaś ustawa zabraniająca kawalerom korzystania z kobiecej usługi, a zwłaszcza ze służących poniżej lat czterdziestu albo, jeszcze lepiej, pięćdziesięciu. Muszę o tym pomówić z ojcem i z senatorem Darnowskim. Najwięcej zrobić by tu mógł Stanisław, ale on jest takim idealistą, że w samym fakcie nie widziałby nic

zdrożnego.

Ta mała małpka tak była pewna siebie, że nawet do mnie uśmiechała się, uważając mnie widocznie za niegroźną. Pan Tonnor zdawał się nie zwracać wcale na nią uwagi i mówił dalej po francusku:

– Bardzo polecam pani ten płyn. To jest naprawdę stary i dobry koniak, o jaki dziś już trudno nie tylko w Warszawie, lecz i w samym Paryżu. Dostałem go przypadkowo od jednego z przyjaciół.

Więc wracając do listów pani przyjaciółki, zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Mianowicie ona sama dziś rano zechciała mnie odwiedzić i zażądała, bym jej te listy oddał. Nie może pani sobie wyobrazić, z jaką przykrością musiałem się zastosować do jej życzenia. Oczywiście nie ze względu na listy – dodał znacząco.

To, co powiedział, wprowadziło mnie w takie zmieszanie, że nawet nie zauważyłam, kiedy wyszła ta rozpuszczona pokojówka. Nie wątpiłam, że mówi prawdę. Po Halszce wszystkiego można się spodziewać. Dlaczego mnie nie uprzedziła? Przecież naraziła mnie na okropnie fałszywą i przykrą sytuację. Ten pan gotów pomyśleć, że wiedziałam o odebraniu listów i przysłam mimo to. Trzeba to było koniecznie jakoś wyjaśnić. Gdy zdołałam się skupić, powiedziałam:

– Ach, tak. Bardzo pana wobec tego przepraszam. Nic o tym nie wiedziałam. Halszka zresztą nie miała czasu mi o tym powiedzieć, bo dziś wcale nie byłam w domu. Jadłam obiad w

„Bristolu”, a przedtem, jak pan wie, byłam na długim spacerze. Doprawdy nic o tym nie wiedziałam i bardzo pana przepraszam.

Sięgnęłam po rękawiczki i torebkę, lecz on zatrzymał mnie stanowczo.

– Niechże pani zaczeka. Wiem, że stało się to bez pani wiedzy. Mam nawet na to dość zabawny dowód.

– Ma pan dowód? – zapytałam uszczęśliwiona.

– Ależ naturalnie, Halszka zrobiła mi straszną awanturę. Ponieważ mam łagodne usposobienie i boję się awantur, omal nie wyskoczyłem oknem ze strachu. I niech pani sobie wyobrazi, że awantura była o panią.

– Jak to o mnie?!

– O, tak. Musiałem wysłuchać najbardziej gorzkich wyrzutów z powodu mojej niedyskrecji. Bo tak określiła Halszka moją gotowość zwrócenia jej listów w czyjeś obce ręce.

Mimo woli zaczerwieniłam się.

– Nic nie rozumiem. Gotowa jestem panu przysiąc, że Halszka prosiła mnie, bym te listy od pana odebrała. Zapewniała mnie, że nie ma innego sposobu wydobycia ich od pana. Czy pan może mi uwierzyć?

Zaśmiał się swobodnie.

– Ależ wierzę pani, śliczna pani Hanko.

Znał moje imię! Może i nazwisko. Może ta idiotka wszystko wygadała! W ładnym jestem położeniu. Byłam tak wściekła na nią, że gotowa byłam z kolei o niej opowiedzieć wszystko. Niech pan Tonnor wie, że ona go uważała za szantażystę, że opowiadała

o nim jako o okropnym typie spod ciemnej gwiazdy. Tylko swojej opanowanej naturze zawdzięczam to, że powstrzymałam się w ostatniej chwili.

– Skąd pan zna moje imię? – zapytałam.

– Pani przyjaciółka w ferworze wymieniła je. Ale niech się pani uspokoi. Nic więcej nie powiedziała.

Tu spojrzał mi ciepło w oczy.

– Czy może pan mi dać na to słowo?

– Mogę pani dać dziesięć.

– Chcę panu wierzyć... – odetchnęłam. – Więc pan teraz rozumie, jak mi jest przykro. Zaofiarowałam się Halszce z pomocą, gdyż tego pragnęła. Tymczasem widzę, że się kochacie i że ja zupełnie niepotrzebnie wtrąciłam się w wasze sprawy.

Wstał i z bardzo poważnym wyrazem twarzy ujął moją rękę.

– Niech mi pani wierzy, że ten traf był jednym z najszczęśliwszych trafów w moim życiu. I jeżeli do Halszki zachowam nie miłość, której nigdy nie odczuwałem, lecz sympatię, to tylko dlatego, że mimo woli umożliwiła mi poznanie pani.

Patrzył mi prosto w oczy i mówił dalej:

– Nic nie wiem o pani. Zamieniłem z panią niewiele słów, ale i to wystarczyło, by się przekonać, że poznanie pani będzie ważkim przeżyciem dla mnie. Nie wiem, czy pani zechce podtrzymać naszą znajomość. Nie wiem, czy, zwłaszcza po tej groteskowej historii, nie będę w oczach pani uchodził za ośmieszonego. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś panią zobaczę. Ale

choćby od tej chwili między nami wyrósł mur nie do przebycia i tak na długie, długie lata pozostanie pani w mojej pamięci.

Jego skupiony wyraz twarzy, oczy o poważnym i smutnym wyrazie, gorące dłonie i ten niski głos, nabrzmiały wewnętrzną treścią, potwierdzały, że mówi prawdę, że jest szczery, że rzeczywiście wrażenie, które na nim wywarłam, nie jest ani tuzinkowe, ani przemijające.

Wydał mi się nagle znacznie bliższy niż wielu innych ludzi, których znałam od lat. Mój Boże, jakie to dziwne! Przecie to jasne, że szłam do niego jako do obcego, raczej wrogiego człowieka, i nagle tych kilka zdań przezeń wypowiedzianych przeobraziło go tak bardzo.

Ach, teraz bardziej niż kiedykolwiek zrozumiałam, że wszystko, co mi Halszka o nim opowiadała, było kłamstwem. Ona musi być nim bardzo zajęta. W jego postępowaniu jest tyle godności i subtelności. A nic kabotynizmu²⁸.

– Wcale nie zamierzam zrywać z panem znajomości – odpowiedziałam. – Znajomość tę uważam za zupełnie miłą.

Bez słowa podniósł moją rękę do ust i lekko, bardzo lekko dotknął jej wargami. Jeszcze przez chwilę mi się przyglądał jakby w zadumie, później uśmiechnął się i podał mi filiżankę kawy, przysuwając jednocześnie kieliszek z koniakiem.

– Halszka wprowadziła mnie w błąd – zaczęłam, lecz przerwał mi od razu.

– Nie mówmy już o niej. Dla mnie należy ona do przeszłości,

²⁸ *kabotynizm* (z fr.) – zachowanie obliczone na efekt; pozerstwo. [przypis edytorski]

a przeszłość nie powraca nigdy.

Wyciągnął ku mnie swój kieliszek i dodał:

– Wypijmy teraz na przyszłość... By była chociaż w drobnej części tak piękna, jak jej sobie życzę.

– Sobie? Pan jest egoistą.

– Nie w danym wypadku – zaprzeczył. – Cały sekret ukrywa się w tym, że w tym wypadku myślę o przyszłości dwojga.

Zaśmiał się tak szczerze i ładnie, że i ja nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Wtedy przysunął się do mnie i lekko, bardzo lekko, niby kładąc rękę na poręczy mego fotela, objął mnie. Nie mogłam oderwać wzroku od jego oczu.

W tym miejscu uważam za stosowne przerwać opis p. Renowickiej, jako nieistotny dla całości pamiętnika. Zarówno mnie, jak i czytelnikowi wyda się rzeczą zupełnie normalną, że podczas tej dwugodzinnej wizyty p. Hanki u p. Roberta Tonnora zawiązały się między nimi tak zwane „nici przyjaźni”. Jestem przekonany jednocześnie, że nie zaszło tam wówczas nic, co by godzić mogło w dobre imię p. Renowickiej, jak również w nieskazitelną opinię dżentelmena, na jaką, jej własnym zdaniem, w pełni zasługiwał p. Robert Tonnor. Groźna i niepewna sytuacja, w której znajdowała się autorka pamiętnika wobec odkrycia pierwszego małżeństwa swego męża, czyni dla nas zrozumiałą jej głód prawdziwej przyjaźni i oparcia się o mocne męskie ramię.

Niejednen zapewne uczyniłby p. Hance zarzut, że

zbyt lekko traktuje tragedię własnego domu rodzinnego, że zbytnio rozprasza swoje zainteresowania na sprawy niemające bezpośredniego związku z nadciągającą burzą. Moim zdaniem niesłusznie. P. Hanka miała zaledwie lat dwadzieścia trzy, naturę bogatą i chciwą nowych wrażeń. Powolne śledztwo, prowadzone przez jej stryja, nie mogło wypełnić całkowicie czasu osobie tak żywej, tak impulsywnej i tak aktywnej. Jeżeli później się okaże, że w wyborze środków zaspokojenia swej aktywności popełnia jakieś błędy, nie zmienia to w niczym faktu, że błędy te na jej miejscu byłyby udziałem setek kobiet do niej podobnych.

Nie rzucając tedy kamieniami potępień, ograniczmy się do stwierdzenia, że owej niedzieli między p. Hanką Renowicką a p. Robertem Tonnorem zawarta została przyjaźń. Dowodem tego może być, że musieli wspaniałym koniakiem p. Tonnora wypić bruderszaft, gdyż od tego dnia p. Renowicka w swym pamiętniku nazywa go po prostu Robertem. (Przypisek T. D. M.)

Powróciłam do domu oszołomiona tym wszystkim. Za dużo przy tym wypiłam koniaku. Jaki dziwny jest świat! Człowiek nigdy nie wie, co go czeka, co go spotkać może. Oby życie witało mnie zawsze takimi niespodziewankami. Robert jest cudowny!

Miałam jeszcze dwie godziny czasu i czym prędzej wzięłam swój kajet, by zanotować wszystko. By jak najmniej uronić z tego dnia. Kończę. Dzwoni telefon. Na pewno Toto z „Bristolu”. Że też zawsze muszę się wszędzie spóźniać.

Wtorek

Przez wczorajszy dzień nie miałam chwili czasu, by pióro wziąć do ręki. Teraz jest noc. Dokoła panuje zupełna cisza. Różowe światło lampy pada na papier, miękkim obiciem wybity buduar wydaje mi się jakąś cichą i bezpieczną przystanią, gdzie mi nic nie grozi. Zegar cichym cykaniem odlicza sekundy. Nareszcie mogę się skupić. Spojrzeć w zdarzenia ubiegłych godzin i we własną duszę.

Więc nareszcie ją zobaczyłam!

Tak. Bo teraz nie ma najmniejszej wątpliwości już, że to jest ona. Nazywa się Elisabeth Normann. W paszporcie figuruje jako obywatelka belgijska, lat dwudziestu sześciu. Wygląda jednak co najmniej na dwadzieścia osiem, a dałabym głowę, że ma trzydzieści. Trudno zaprzeczyć temu, że jest ładna. Co do jej wieku stryj Albin nie omylił się. Natomiast jego przewidywania co do jej wyglądu zostały skompromitowane. Nie jest blondynką, lecz rudawą szatynką. Nie ma oczu niebieskich, lecz zielone. Nie jest mojego wzrostu, lecz znacznie niższa i drobniejsza. Oto mamy dowód stałości męskiego gustu. Bóg wie, w jakich jeszcze kobietach durzyć się mógł Jacek. Teraz już w nic nie wierzę. Mogły być tam brunetki i rude, może nawet Chinki czy Murzynki. Po mężczyźnie wszystkiego można się spodziewać.

W pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłam, zdawało mi się, że jest tą, którą widziałam na schodach Roberta podczas

pierwszej u niego bytności. Okazało się to jednak złudzeniem. Po pierwsze tamta była całkiem ruda, po drugie nieco wyższa, a po trzecie sam Robert, gdy go za pytałam, czy zna miss Elisabeth Normann, powiedział, że nigdy o takiej nawet nie słyszał. Był nawet szczerze zdziwiony, skąd wytrzasnęłam to nazwisko. Mam doń wiele zaufania i z prawdziwą ulgą opowiedziałabym mu wszystko. Jestem pewna, że tak dzielny człowiek jak on znalazłby wyjście z sytuacji. Potrafiłby coś doradzić, w jakiś sposób mi pomóc. Niestety, najsolenniejsz obiecałam stryjowi nie zdradzić się przed nikim ani słówkiem. Zresztą skoro stryj uważa, że należy milczeć – musi mieć rację. Trzeba polegać na jego doświadczeniu.

Podziwiałam to jego doświadczenie. Dzięki niemu odkryliśmy to, cośmy zdołali odkryć. Ale opowiem wszystko po porządku.

Więc w niedzielę wieczorem, przechodząc z Totem i z jego kuzynem Łoboniewskim przez hall „Bristolu”, zobaczyłam stryja pogrążonego w lekturze jakiejś gazety. Był w smokingu. Notabene jest to jedyny człowiek, który w smokingu nie przypomina kelnera.

W trakcie kolacji poproszono mnie do telefonu. Oczywiście nie był to telefon, lecz stryj. Nie tracąc na próżno czasu, pokazał mi strzępek papieru listowego.

– Czy poznasz to pismo? – zapytał.

Poznałam natychmiast. Było to jej pismo. Poznałabym je w piekle. Okazało się, że stryj dał gruby napiwek pokojówce

sprzątającej numer p. Normann, by dostarczyła chociażby kawałeczka papieru z pismem Angielki. Na skrawku widniały słowa:...*nd I now in Wars...*

Prawdopodobnie był to urywek zdania: I jestem teraz w Warszawie. Zresztą papier był ten sam.

– A teraz – powiedział stryj – czy chcesz ją zobaczyć?

– Gdzie ona jest? – zaniepokoiłam się.

– Siedzi na sali. Mały stolik za drugim filarem. Jest sama, ubrana w ciemnozieloną suknię i w pelerynkę ze srebrnych lisów.

– Czy ładna? – zapytałam.

Stryj błysnął monoklem i powiedział:

– *First class.*

Zrobiło mi się przykro i pomyślałam, że stryj przesadza. On jednak dodał:

– Opamiętaj się, mała, i nie rób tylko do niej żadnych min. W ogóle postaraj się na nią jak najmniej zwracać uwagi. Możesz popsuć wszystko. Chodzi o to, by się nie spostrzegła, że się jej przyglądasz. Pomyśl: wystarczy jej zapytać kelnera o twoje nazwisko. Znają cię tu zbyt dobrze.

Najsolenniejsz obiecałam stryjowi powściągliwość. I najwyżej trzy lub może cztery razy podczas całej kolacji spojrzałam w jej stronę. Nie mogłam tego robić częściej, gdyż siedziałam do niej prawie tyłem. Natomiast Łoboniewski najwyraźniej do niej robił oko. Niedługo zresztą, gdyż natychmiast po zjedzeniu kolacji wyszła. Cóż mogę o niej powiedzieć? Jest dobrze zbudowana i zgrabna. Chodzi w ładny sposób. Ubrana jest pierwszorzędnie,

choć model jej sukni raczej przypomina Wiedeń niż Paryż.

Toto przez całą kolację zanudzał mnie wypytywaniem, co mi jest i czy nie jestem chora. Ach, ci mężczyźni. Im nawet do głowy nie przyjdzie, że w duszy kobiecej mogą się przewalać całe światy przeżyć. Gdyby czytali Nałkowską, zrozumieliby, co się w nas dzieje. Nie mówię już o Tociu, który oprócz „Jeźdźca i Hodowcy” nie bierze do rąk drukowanego słowa. Ale że taki Jacek ziewa przy *Bogumile i Barbarze*, to jest doprawdy skandal. Powiadają o kobietach, że są zagadkami. Nie mogą nas zrozumieć, a gdy mają możliwość poznania nas przez literaturę kobiecą, wolą grać w bridża. Ciekawa jestem, co Robert o tym sądzi. Muszę kiedyś z nim na ten temat pomówić.

Nawet po powrocie do domu dzwoniłam do niego, lecz nikt nie odpowiadał. Co prawda była już godzina druga. Mógł spać i mieć wyłączony telefon. To nawet dobrze, że to robi. Te kobiety go na pewno zameczają, telefonując o Bóg wie jakich godzinach.

Ponieważ od rana ciotka Magdalena dostała raży sprzątaniam; ze stryjem musiałam się umówić w cukierence na rogu. Mogę się tam z nim widywać bezpiecznie, gdyż nikt z towarzystwa do takich cukierenek nie zagląda. Stryj był zadowolony z siebie. Okazało się, że w nocy szła mu dobrze karta, a poza tym zebrał dalsze informacje o tej kobiecie.

Widział jej paszport na własne oczy. Wiedział, że bardzo rzadko wychodzi z hotelu, że nie wysyła, przez służbę przynajmniej, żadnych listów i że przybyła z Wiednia. (To i ja sama wiedziałam po tej jej sukni. Mój wzrok nigdy mnie nie

zawodzi).

– I coś zrobimy dalej? – zapytałam stryja.

– Nie będzie to rzeczą łatwą – zaczął – ale teraz należy pójść w dwóch kierunkach. Przede wszystkim trzeba zwrócić się do jakiejś belgijskiej wywiadowni czy też do biura detektywów, by dostarczono nam szczegółowych informacji o tej pani. Zaraz wytłumaczę ci, mała, dlaczego jest to ważne. Otóż miss Elisabeth Normann nie wydaje mi się osobką tuzinkową, zwyczajną, taką, jakich tysiące możemy spotkać.

– Dlaczego? – powiedziałam. – Czy dlatego, że ma na rudo zrobione włosy?

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie, kochanie. Nie dlatego. Zastanów się: czy normalna dziewczyna wkrótce po ślubie bez słowa wyjaśnienia porzuca swego męża? Czy normalna dziewczyna przez szereg lat nie daje o sobie znać, by później wrócić, odnaleźć męża wtedy, gdy on już szczęśliwie zawarł ponowne związki małżeńskie, i domagać się od niego, by odbudował pierwsze swe ognisko domowe? Nie, kochanie. Tak się nie zachowują zwykłe panny. A czym się różnią zwykłe od niezwykłych? Otóż tym, że niezwykłe mają również niezwykłe życie.

– Aha – domyśliłam się. – Stryj sądzi, że przez biuro detektywów dowiemy się o tej kobiecie rzeczy, które by ją kompromitowały.

– Tak – potwierdził. – A jeżeli nie kompromitowały, to w każdym razie, które by nam umożliwiły zaszachowanie jej ze

swej strony. Musimy wziąć pod uwagę fakt, że nie wiemy, w jakim stadium pertraktacji znajduje się z nią Jacek i jak się do niej ustosunkowuje. O ile jednak mogłem sobie wyrobić o nim sąd, raczej skłonny jestem przypuszczać, że nic pozytywnego w tym kierunku nie zrobił. Zapewne ogranicza się do perswazji, które na nią mają tyle wpływu, ile groch na ścianę.

– I ja myślę tak samo.

– Właśnie. W tych warunkach oczywiście jego pozycja jest prawie beznadziejna. Natomiast jeżeli będziesz mu mogła dać do ręki jakieś środki walki, kto wie, czy rzecz nie przybierze zupełnie innego zabarwienia. To jedno. Drugi kierunek naszych poczynań jest nie mniej trudny. Mianowicie będę starał się osobiście poznać tę panią.

– Stryj?

– Tak, ja.

– Ale w jakim celu? By się z nią rozmówić?

– Ach, bynajmniej. By ją poznać. Każdy człowiek ma jakieś słabe strony. A zwłaszcza kobieta. Każdy człowiek może się z czymś wygadać, a zwłaszcza kobieta. Każdy człowiek ulega nastrojom, a zwłaszcza kobieta. Otóż wyzyskać to wszystko będzie moim zadaniem. Ponieważ zaś miss Elisabeth Normann nie robi wrażenia ani osoby brzydkiej, ani odpychającej, przypuszczam, że podejmując się tego zadania, nie narażam się na rzecz przykrą.

– No, dobrze. A w jaki sposób stryj ją pozna?

– Od razu powiedziałem ci, że to nie będzie rzeczą łatwą. Z

zebranych dotychczas przeze mnie wiadomości wynika, że dama ta nie widuje się z nikim, nie telefonuje prawie wcale. Oczywiście są to informacje służby hotelowej. Oczywiście poza hotelem może mieć znajomych, z którymi się spotyka. Dla poznania jej będę się tedy musiał uciec do jakiegoś triku, do jakiejś sztuczki.

– Ma już stryj pomysł?

– Na razie mam ich za dużo i póki nie wpadnę na właściwy, nic w tym kierunku nie przedsięwzięmę w obawie przed zepsuciem całej sprawy.

Następnie stryj wydobył z kieszeni kartkę, gdzie miał już zanotowanych kilka adresów biur wywiadowczych w Brukseli. Po krótkiej naradzie wybraliśmy jeden z nich, wzbudzający największe zaufanie. Stryj sam miał zająć się korespondencją z tym biurem.

Żegnając się jeszcze ostrzegłam go:

– Trzeba pamiętać, że ta kobieta na pewno zna moje panińskie nazwisko. A w każdym razie nietrudno będzie jej się tego dowiedzieć. Otóż stryj nie może jej się przedstawić jako Niementowski, bo wówczas z miejsca nabrałaby podejrzeń.

Uspokoił mnie z ironicznym uśmiechem.

– Nie bój się. Gdybym wszystkim kobietom przedstawiał się swoim nazwiskiem, od dawna musiałbym założyć harem.

„Jaka szkoda – pomyślałam sobie – że nie znałam go wtedy, gdy był młody. Przed ośmiu laty był dla mnie uosobieniem pożeracza serc. Wszystkie moje koleżanki, które go znały, były tego samego zdania. Pisywały doń listy, usiłowały zdobyć jego

fotografię i wystawiały pod jego willą. Niestety, dla biednej Lilki skończyło się to tak smutno. Ciekawa jestem, czy jej mąż wie o tym. Słyszałam, że się bardzo kochają. Muszę do niej kiedyś napisać”.

Po powrocie do domu zastałam bombę. Ledwie otworzyłam drzwi wejściowe, gdy do przedpokoju wbiegła ciotka Magdalena i piorunując mnie spojrzeniem powiedziała szeptem:

– Dobrze, żeś przyszła. Czeka tu ktoś na ciebie.

W pierwszej chwili przeraziłam się. Chociaż Robert jest taki opanowany i taki rozsądny, mogło mu nagle strzelić do głowy, by tu wstąpić. Wprawdzie nie powiedziałam mu swego nazwiska, ale zna mój numer telefonu. Przez biuro numerów nietrudno się dowiedzieć, do kogo należy. Prosiłam, by tego nie robił, i obiecał mi, a w jego obietnice bezwzględnie wierzę. Lecz rozumiem również, że są takie chwile, w których mężczyzna nie może zapanować nad swoimi porywami. (Jest to nawet ładne). Mimo woli zaczerwieniłam się, lecz następne słowa ciotki rozwiały moje obawy. Ciotka mierząc mnie druzgoczącym spojrzeniem dodała:

– Przyszedł znowu pośrednik w sprawie placu.

Zdumiałam się. W żadnym wypadku nie mógł to być stryj. Zostawiłam go przecież w cukierni.

– Dziwnie się zmienił – syknęła ciotka. – Teraz wcale nie przypomina swojego poprzedniego wyglądu. A może jest to jakiś oszust-prestidigitator, który charakteryzuje się do każdej wizyty?

To powiedziawszy sapnęła i wyszła do jadalni, z lekka

trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Weszłam do salonu. Przy lustrze na brzeżku krzesła siedział mały, tłusty jegomość, o czerwonych policzkach i kartofelkowatym nosie. Gdy zerwał się na równe nogi, wcale nie przybyło mu wzrostu. Omal nie roześmiałam się na myśl, że stryj Albin mógłby się tak charakteryzować. Mały, owalny człowieczek, idealnie łysy, miałby wielkie szanse występując w panopticum²⁹ jako człowiek-jajko.

Długo i obszernie zaczął mi wyjaśniać sprawę placu na Żoliborzu, cen rynkowych i kandydatów na kupno. Mówił szybko z tym nieznośnym ugrzecznieniem, które cechuje ludzi źle wychowanych. Myślę, że jest to ich broń przeciw wyrzuceniu za drzwi. Człowiek narażony na obcowanie z takim typem zniewolony jest do uprzejmości pomimo odczuwanego wstrętu.

Nie słuchałam zresztą tego, co mówił. Łamałam sobie głowę, jak wykręcić się przed ciotką. Wreszcie w tyradę pośrednika zdołałam wedrzeć się kilkoma słowami, wyjaśniając, że absolutnie nic nie wiem o placu i że ta sprawa obchodzi tylko mego męża.

Gdy wyniósł się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zjawiała się ciotka, triumfująca i karcąca samym wyrazem swojej twarzy.

– Nie wyobrażam sobie – zaczęła – co może skłonić takiego pośrednika do aż tak jaskrawych metamorfoz. Raz jest

²⁹ *panopticum* – gabinet osobliwości a. wystawa figur woskowych. [przypis edytorski]

wytwornym, interesującym dżentelmenem, drugi raz pospolitym osobnikiem, o mało atrakcyjnym wyglądzie. Raz nieomylnie zastaje ciebie w domu, innym znowu razem zawodzi go intuicja i zjawia się wówczas, gdy ciebie nie ma.

– Moja ciociu. To był po prostu inny pośrednik. Jeżeli ciocia sądzi, że w Warszawie jest tylko jeden pośrednik od handlu nieruchomościami, ciocia bardzo się myli.

Zamaszyście potrząsnęła głową. Obawiałam się, że jej wszystkie szpilki z włosów wylecą.

– Moja kochana – powiedziała – byłoby wszystko to wytłumaczalne, gdybym nie wiedziała, że Jacek powierzył tę sprawę jednemu, dokładnie jednemu pośrednikowi. Nie trzem ani pięciu, lecz właśnie jednemu, temu, który stąd wyszedł przed chwilą.

Byłam przygotowana na ten argument.

– I ja wiem o tym. Ale wiem również, że pośrednicy uciekają się do pomocy swoich kolegów po fachu, jeżeli chodzi o szybkie znalezienie kupca. Poprzedni mówił mi właśnie, że jednemu z jego przyjaciół powierzono sprzedaż naszego placu i że on znalazł chętnego nabywcę. Zresztą, jeżeli ciocię tak interesują ludzie tej profesji, żałuję, że mi ciocia o tym wcześniej nie powiedziała. Właśnie zbliża się karnawał i z przyjemnością specjalnie dla cioci urządzą Bal Pośredników. Spodziewam się, że ciocia nie będzie się nudziła.

Wyszła obrażona i do wieczora nie odezwała się do mnie ani słowem. Może nareszcie wybiłam jej z głowy te nedorzeczne

podejrzenia.

Dziś tylko na chwilę mogłam wpaść do Roberta. Po pierwsze, on jest bardzo zajęty w związku z jakimś bilansem czy czymś takim, po drugie, musiałam być u rodziców. Ojciec jutro wyjeżdża na polowanie.

Robert jest czarujący. I taki delikatny. Napomknęłam, zupełnie od niechcienia, że nie podoba mi się jego pokojówka, a natychmiast zgodził się ją odprawić. Oczywiście zaprotestowałam. Wcale mi na tym nie zależy. Wystarcza mi to, że przekonałam się, jak mało przywiązuje wagi do jej obecności w swoim domu. Jest zresztą rzeczą zrozumiałą, że człowiek o pewnych wymaganiach estetycznych woli mieć służbę nierażącą swoim wyglądem. Jacek przecie również dba o to. I Józefa, chociaż jest bardzo niezgrabny, trzyma dla jego reprezentacyjnej aparycji.

U rodziców zastałam generała Długosza, kolegę ojca z lat szkolnych. Jest to najmilszy jego kolega. Rozpieszczał nas obie od dziecka. Zwłaszcza przepada za Danką. Jest to jeszcze dla mnie jeden dowód, że w swojej naturze nie mam zazdrości. Nie lubiłabym go za to, że wyraźnie woli moją siostrę.

Mama przyjęła mnie całą stertą historii i historyjek, które mnie nic nie obchodzą. Dowiedziałam się, o czym mówiono na fajfie u kanoniczki Walewskiej, o czym u państwa Zdziechowskich i to jeszcze, że lekarze stwierdzili u wujka Kazia raka wątroby. Matka zdawała się być tym bardzo przejęta, chociaż wujek Kazio mieszka stale w Szkocji i nie widziała go

od dobrych czterdziestu lat.

Swoją drogą dziwi mnie u starszych ten nadmiar zainteresowań rodzinnych, to co stryj Albin z abominacją³⁰ nazywa „familienbadem”. Zarówno ojciec, jak i mama pisują moc listów do najdalszych krewnych, każą mi nazywać wujkami panów, których nigdy w życiu nie widziałam, cmokać w rękę jakieś ciotki, dziesiąta woda po kisielu, zajmować się małżeństwami i chrzcinami w paru setkach domów, rozsianych po całej Polsce i Europie. Ojciec nazywa to więzią rodzinną, stryj nazywał uwięzią, a mama bez zajknięcia umiała powiedzieć:

– To przecież wcale nie jest człowiek obcy, lecz wujeczno-
cioteczny brat mojej rodzonej siostry ciotecznej.

I z tego tytułu musiałam z jakimś bubkiem być na ty i wysłuchiwać, jakie premie dostał za swoje cieleta, hodowane gdzieś na Podolu.

Ojciec krótko wypytał, jak się czuję, zrobił dość łagodną aluzję do wyjazdu Jacka bez pożegnalnej wizyty i zaraz zabrał generała, by mu przez godzinę pokazywać dwa nowe obrazy, które właśnie nabył. Ach, te obrazy! Cały ogromny dom napełniony jest od sufitu do podłogi obrazami. Ojciec uchodzi za mecenasa sztuki i nic nie mam przeciwko temu. Sama lubię ładne widoczki czy główki. Ale nie można mieszkać w galerii obrazów.

Pamiętam, co to była za awantura, gdyśmy z Jackiem urządzali sobie mieszkanie. Ojciec wielkodusznie ofiarował

³⁰ *abominacja* (z łac.) – obrzydzenie, wstręt, odraza. [przypis edytorski]

kilka podobno wspaniałych płócien. Jak zapewniała mama, przeżył niemal tragedię, wyrzekając się ich dla ukochanej córki i zięcia. Do tego stopnia był do nich przywiązany i tak je cenił, że kilka tygodni zwlekał z decyzją. Jakież było oburzenie ojca, gdy się przekonał, że powiesiliśmy je w przyszłym dziecinnym pokoju i u ciotki Magdaleny. Nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień, że zrobiliśmy to tylko na razie. Nie mógł zrozumieć, że w naszym nowoczesnym mieszkaniu po prostu nie pasowałyby ani do salonu, ani do buduaru, ani do gabinetu. Przez prawie pół roku był na nas obrażony, a wiem od Danki, że zdobył się na jedno tylko słowo potępienia: „Barbarzyństwo!...”.

W ogóle głównym zarzutem wysuwany przezeń przeciw Jackowi było niedocenianie przez Jacka znaczenia literatury, muzyki i plastyki. Ojciec nie bierze tego pod uwagę, że Jacek ma moc innych zainteresowań.

Jacek świetnie zna historię, uprawia prawie wszystkie sporty, śmiało może uchodzić za jednego z najlepszych automobilistów-dżentelmenów w Europie, a poza tym mało kto zna się tak na polityce międzynarodowej jak on. Nie jest zresztą już tak zupełnie obojętny na sprawy sztuki. Nie można jednak przesadzać. Jeżeli chodzi o ojca, zawsze dziwiłam się, kiedy miał czas zajmować się tym wszystkim. Przecież brał zawsze bardzo czynny udział w życiu społecznym, jego zajęcia zawodowe i olbrzymia praktyka pochłaniały mu w każdym dniu wiele godzin. Nie opuszczał przy tym żadnej lepszej premiery w teatrze, na niektóre koncerty specjalnie jeździł za granicę, umiał

na pamięć kilometry wierszy polskich i obcych. Dziwni są ci starsi ludzie.

Pod jednym względem dom rodziców jest niezastąpiony. Myślę o spokoju, który w nim panuje. Wpływa na to nie tylko uregulowany tryb życia ojca i mamy, Danki i nawet służby, lecz i coś nieokreślonego, co otacza mnie, ilekroć tam przyjdę, atmosferą bezpieczeństwa, świadomością, że nic tu nie może stać się nagłego, zaskakującego, wytrącającego z równowagi.

Wprawdzie nie twierdzę, że mogłabym zawsze przewidzieć, co powiedzą mieszkańcy tego domu lub ich goście. Wiem jednak z całą pewnością, że nie powiedzą nigdy nic wywołującego gwałtowny sprzeciw ani nic drażniącego. Jeżeli mam dużo taktu (Toto zapewnia mnie, że jestem najtaktowniejszą kobietą na świecie), sądzę, że zawdzięczam to tej temperaturze duchowej, jaka panowała zawsze w domu rodziców.

Zdaniem stryja mama jest głupia. Być może, że nie odznacza się szczególniejszą inteligencją. Ale w normalnym życiu towarzyskim można się nie obawiać z jej strony szczególniejszych błędów. Zresztą, mój Boże, jeżeli taki mądry człowiek jak ojciec mógł z nią wytrzymać przez tyle lat i nadal ją kocha, a w każdym razie szanuje i jest do niej przywiązany, nie mogę się zgodzić ze stryjem. Albo muszę przyjąć, że wśród zalet kobiecych zalety umysłowe nie grają poważnej roli.

Próbowałam na temat mamy mówić z Danką, lecz ta dogmatyczka zawsze uchylała się od dyskusji. Niewątpliwie jest znacznie inteligentniejsza od mamy. Przysięgłabym, że musi

dostrzegać – jak to nazwać – że mama jest ograniczona pod wieloma względami. Konsekwentnie jednak udaje, że tego nie widzi. Całkiem serio zwraca się do niej o radę w przeróżnych kwestiach. Robi to nawet z namaszczeniem. Asystowałam nieraz przy tych ceremoniach i śmiać mi się chciało obserwując, jak Danka podsuwa matce kolejno własne sugestie, a później z największą powagą dziękuje jej za radę, której przecież wcale nie otrzymała.

Jeżeli o mnie chodzi, od najwcześniejszych lat nie widziałam (widocznie podświadomie) w mamie żadnego autorytetu. Kocham ją oczywiście i kochałam zawsze. Ale instynkt kierował mnie zawsze w chwilach krytycznych do gabinetu ojca lub w sprawach drobniejszej wagi do bony czy nauczycielki. Miałam przy tym ten spryt, że bynajmniej nie ukrywałam przed mamą swoich przeżyć, lecz mówiłam z nią o nich jako o rzeczach ciekawych, jednakowo nas obchodzących, niewymagających wszakże ani pomocy, ani wskazówek. Dzięki temu między mną i mamą wytworzyła się zwyczajna przyjaźń, w której żadna ze stron nie miała przewagi, przynajmniej póty, póki nie zaczęłam myśleć samodzielnie i nie nauczyłam się na świat patrzeć krytycznie, już nie przez okna mieszkania rodziców, lecz własnymi oczami. Od czasu mego zamążpójścia stosunek ten znacznie się rozluźnił z tej prostej przyczyny, że miałam już Jacka, do którego inteligencji nigdy nie straciłam ufności, a który nader żywo interesuje się wszystkimi moimi sprawami.

Ojciec wybierał się do Hołdowa na dziki. Miało być duże

polowanie, w czternaście strzelb, i mama zdecydowała się jechać również z tego względu, że niektórzy panowie przyjeżdżali z żonami. Próbowала wprowadzić jeszcze teraz namówić mnie, bym ją zastąpiła w Hołdowie, lecz czyż mogłam bodaj na kilka godzin wyjechać z Warszawy w tym okresie, gdy lada moment w sprawie Jacka nadejść miały nowe wyjaśnienia.

Stosunkowo wcześniej wróciłam do domu. Okazało się, że stryj nie telefonował, za to Halszka aż pięć razy. Mniejsza o to. Nie mam jej nic do powiedzenia, a nie spodziewam się, by ona mogła mi zakomunikować coś, co by mnie obchodziło. To jest zła i fałszywa kobieta. Bardzo dobrze, że los ją za to tak ukarał. Niech się trzyma swego idiotycznego Pawła, który też na pewno ma już jej powyżej uszu.

Kończę pisanie, lecz jeszcze pewno długo nie zasnę.

Środa

Znowu miałam pecha. Okazuje się, że nie można zbyt daleko posunąć się w ostrożności. Ciotka Magdalena, która nigdy przed obiadem nie wychodzi z domu, tym razem poczuła przypływ łakomstwa i musiała wejść do cukierni po ciastka. Oczywiście siedziałam tam ze stryjem Albinem. Myślałam, że się babsko przewróci z wrażenia.

I właściwie mówiąc nie wiem, po co chciałam się ze stryjem widzieć, skoro mi przez telefon powiedział, że nic nowego nie wskórał. Mam pecha, po prostu pecha. Teraz już ciotka Magdalena nie da sobie oczu zamydlić żadnymi pośrednikami. Udawała wprawdzie, że nas nie widzi, ale mego oka nie uszło, że zachwiała się w posadach. Kupiła sześć ciastek. Trzy tortowe i trzy z kremem. To jest obrzydliwe napychać się z rana słodzcami, zwłaszcza wówczas, gdy się wie dobrze, że grozi cukrzyca.

W ciągu dnia nie zamieniła ze mną ani słowa poza zdawkowymi frazesami domowymi. Ona swego Jacka uważa za półboga i jeżeli coś mnie cieszy na myśl o grożącym skandalu, to perspektywa ruiny świątyń, które ona wznosi kochanemu siostrzeńcowi. Chyba otrułaby się weronalem. Nie na niej zresztą jeden upadek Jacka zrobiłby takie wrażenie. Wyobrażam sobie, ile osób, uważających go za zwierciadło cnót i zalet, musiałoby chować dudy w miech i załamywać ręce nad

jego przewrotnością. Byłby to niezły rewanż za te bezsensowne gadaniny o tym, że nie dorosłam do Jacka i że wart on jest lepszej żony.

Ciekawe, jaka żona byłaby lepsza! Która miałaby tyle taktu, tyle walorów reprezentacyjnych, która potrafiłaby stworzyć mu tak miły i tak powszechnie ceniony dom, prawdziwe ognisko rodzinne! Ludzie są podli.

A już chciałabym zobaczyć taką, co w obecnej mojej sytuacji zdobyłaby się na maksimum umiaru i dyskrecji. Inna poleciałaby już dawno albo do rodziców ze skargami, albo do owej rudej wydry, by zrobić jej piekielną awanturę. No, ręczę, że każda bez wyjątku co najmniej jemu urządziłaby nieludzką scenę.

I tu mówią, że ja do niego nie dorosłam. Że wart jest lepszej. I to musi mówić moja najlepsza przyjaciółka, ta wstrętna Halszka.

Dowiedziałam się o tym od Muszki Zdrojewskiej. Były razem z Zygmuntem Karskim w Cafe-Clubie. Muszka na pewno nie kłamie. W tym wszystkim, co mówiła, nieprawdą było tylko to, że rozmawiały o mnie przy Karskim. Zygmunt nie dałby na mnie złego słowa powiedzieć. W ogóle pod tym względem mężczyźni stokroć wyżej stoją niż kobiety. Taki na przykład Robert, który przez Halszkę miał moc przykrości, nigdy o niej źle się nie wyraża. Jest aż nazbyt pobłażliwy. Dziś niestety nie mogłam się z nim zobaczyć. Stale jest zajęty.

Zdaje mi się, że w tych męskich zajęciach musi być sporo przesady. Każdy z nich swoją pracę uważa za jakąś świętość. Każdemu z nich się zdaje, że gdy nam powie: „Mam mnóstwo

roboty” lub też: „Mam ważne posiedzenie”, to już tym samym odpadają wszelkie możliwości innego spędzenia czasu. Oczywiście nie zawsze są to z ich strony wykręty. Nawet skłonna jestem im wierzyć. Ale po prostu przeceniają swoją pracę. Świat się nie zawali, jeżeli który z nich spóźni się na konferencję czy nie pójdzie do biura.

W ubiegłym roku raz jeden tylko miałam poważne zajście z Jackiem. Wybieraliśmy się na bal do Leskich. Szalenie mi zależało na tym, by być tam przed jedenastą. Tymczasem Jacek mi dzwoni, że zebranie jakiegoś związku czy stowarzyszenia przeciąga się, że jakieś wybory zarządu, że coś tam jeszcze i podobne głupstwa. Nie chciał mnie zrozumieć, że muszę być przed jedenastą, bo pani Kawińska sprawiła sobie toaletę bardzo podobną do mojej i nie mogłam, no, wprost nie mogłam zjawić się po niej. W tych subtelnościach mężczyźni są jak ślepi w lesie.

Zresztą to może i dobrze, że Robert nie miał dziś czasu. Dzięki temu zostałam w domu, a właśnie o siódmej zatelefonował Jacek z Paryża. Szalenie się śpieszył, powiedział tylko, że jeszcze nie może ustalić daty swego powrotu i że przyjdzie adiutant pułkownika Korczyńskiego, by zabrać żółtą olakowaną kopertę, która leży w środkowej szufladzie biurka. Przypomniałam Jackowi, by mi przywiózł większy flakon „Voyage de nocés”. Podejrzewam, że te, które można dostać w Warszawie, są znacznie słabsze.

Oczywiście natychmiast po rozmowie odszukałam w biurku ową kopertę. Byłam niezmiernie ciekawa, co zawiera. Niestety,

olbrzymia pieczęć lakowa zupełnie uniemożliwiała jej otwarcie. Nie sędzę jednak, by wewnątrz było coś, co mogłoby mnie zainteresować. Raczej sędzę, że były tam jakieś papiery urzędowe i to zapewne takie, do których Jacek przywiązuje duże znaczenie. Na kopercie napisane było czerwonym ołówkiem. **L.K.Z. – 425.** Że też oni zawsze mają swoje tajemnice.

Koło ósmej zjawił się zapowiadziany adiutant, przystojny młody oficer. Zaproponowałam mu filiżankę kawy, lecz odmówił. Był bardzo grzeczny i dostrzegłam, że mu się podobałam. Lecz pomimo to oświadczył, że się bardzo śpieszy i że przyszedł po zalakowaną kopertę, o której musiał mi mąż telefonować z Paryża. Nie zatrzymywałam go, tym bardziej że robił wrażenie zdenerwowanego. Podziękował mi uprzejmie i wyszedł.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, obejrzałam jego kartę wizytową: porucznik Jerzy Sochnowski. Zupełnie *correct* młody człowiek. Można go będzie śmiało zaprosić na nasze fajfy. Jeżeli to z tych Sochnowskich z Podola, może być nawet dalekim krewnym Jacka. Trzeba będzie mamę o to wypytać.

Nie wiem, czemu jestem dzisiaj taka zmęczona. Nie chciało mi się nawet pójść z Totem na kolację. Zostałam w domu. Zupełnie nie miałam apetytu. Zjadłam tylko trzy szparagi i wypilałam szklankę herbaty z odrobiną czerwonego wina. Ciotka Magdalena przyglądała mi się przy stole podejrzliwie, dopatrując się prawdopodobnie w moim braku apetytu objawów zakazanej miłości do rzekomego pośrednika. Niech ją Bóg ma w swojej

opiece. W istocie sprawa jest znacznie poważniejsza: przybyło mi w ostatnim miesiącu kilo i czterdzieści deka.

Czwartek

Rzucam w pośpiechu te kilka słów. Wczesnym rankiem przysłała depesza z Hołdowa. Ojciec niebezpiecznie chory. Mam zabrać profesora Wolframa i doktora Jarka i natychmiast jechać do Hołdowa. Na szczęście obaj mogą pozwolić sobie na wyjazd. Jestem pełna niepokoju o zdrowie i życie ojca. To rozpacz, że nie mogę zawiadomić stryja Albina o swoim wyjeździe. Tymczasem mogą tu przecież zajść bardzo ważne rzeczy. Samochód stoi przed bramą.

Wtorek

Co się działo, co się działo!

Muszę panować nad swoimi myślami, gdyż inaczej nie potrafiłabym systematycznie i jasno opowiedzieć wszystkiego. Postrzelenie ojca, awantura, operacja, ta żółta koperta, ta ruda szantażystka, stryj Albin, Jacek, porucznik Sochnowski, śledztwo – wszystko to kręci mi się w głowie jak w kołowrocie. Na dodatek jeszcze ta zwariowana ciotka Magdalena. Biedny Robert! Pewno myśli, że o nim zapomniałam. Miałam szaloną pokusę wysłać z Hołdowa doń list, lecz powstrzymałam się w ostatniej chwili. Przypomniało mi się stare mądre przysłowie, że nic tak nie plami kobiety jak atrament. List zawsze może trafić w czyjeś niepowołane ręce, jak ostatnio miałam tego dowód.

Tego by jeszcze tylko brakowało, by Robert znalazł się na tapecie!

Ale od początku!

Więc przede wszystkim rana ojca nie okazała się wcale tak niebezpieczna, jak z początku myślano.

Ten Portugalczyk (nazwiska jego nigdy nie zapamiętam) na pewno nie miał zamiaru ojcu zrobić żadnej krzywdy. Sam był w rozpacz i uparł się, by pokryć wszystkie koszty kuracji. Ma się rozumieć, ojciec na to nie mógł się zgodzić. Wobec tego Portugalczyk ofiarował bardzo poważną kwotę na jakiś dobroczynny cel. Oni tam w Portugalii nie mają polowań, toteż

gdy zobaczył dzika, strzelał za nim na wszystkie strony jak wariat. W rezultacie kula przebiła ojcu na szczęście tylko mięśnie nad biodrem. Jednak sześć dni siedzieć musiałam w Hołdowie. O wyjeździe nie mogło być mowy. Mama ze strachu zupełnie straciła przytomność. A tu prawie dwadzieścia osób! I jeszcze te historie.

Że ja sama nie dostałam pomieszania zmysłów, to dziwne. Jeszcze nie mogę przyjść do siebie. Tym bardziej że poza stanem zdrowia ojca wszystko zdaje się pogarszać.

Nazajutrz po swoim przyjeździe do Hołdowa otrzymałam od stryja depeszę. Donosił mi w nader oględnych i dla osób niewtajemniczonych zagmatwanych słowach, że nadeszła z Brukseli niepomyślna wiadomość. O tej babie tam nikt nic nie wie oprócz tego, że zatrzymywała się kilkakrotnie w różnych hotelach.

Ustalono niezbicie, że nie jest mieszkanką żadnego z większych miast belgijskich. Biuro przypuszcza, że nie jest to osoba godna zaufania. Nie zaprzestało dalszych poszukiwań wprawdzie, ale stryj wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie spodziewa się żadnych istotnych informacji.

Nie było to dla mnie pocieszające. Gdybyśmy o tej damulce wiedzieli coś konkretnego, zupełnie inaczej można by było z nią mówić. Cała nadzieja w stryju.

Na dobitek spadła na mnie nowa historia. Mianowicie w sobotę rano do Hołdowa przyjechało dwu panów. Gdy wyszłam do nich i ze zdziwieniem stwierdziłam, że ich nie

znam, przedstawili się. Okazało się, że starszy z nich był pułkownikiem Korczyńskim, a młodszy ni mniej, ni więcej tylko jego adiutantem, porucznikiem Sochnowskim. Ponieważ nie chciałam w to uwierzyć, gdyż ten nowy Sochnowski wcale nie był podobny do poprzedniego, pokazali mi swoje dokumenty. I teraz dopiero wszystko wyszło na jaw.

Mężczyli mnie przeszło trzy godziny. Musiałam dokładnie opowiedzieć, jak to było z wizytą owego pierwszego (fałszywego) adiutanta, ściśle podać godzinę jego wizyty i rysopis. Sprawa musiała być poważna, gdyż pułkownik słowo w słowo zapisywał moje zeznania, porucznik zaś starannie pozamykał drzwi, by nas nikt nie mógł słyszeć. Okazało się, że w żółtej kopercie były podobno niezmiernie ważne dokumenty. Na zdobyciu ich miało bardzo zależeć jakiemuś państwu ościennemu.

Notabene ze wstydem muszę się przyznać, że nie mam pojęcia, które państwo trzeba nazywać ościennym. Ciągłe w rozmowach mężczyzn pada to słowo, a ja krępuję się zapytać. Przecież nie wypada mnie, jako żonie Jacka, tego nie wiedzieć. Domyślam się jednak, że pod słowami „państwo ościenne” należy rozumieć Rosję.

Zwłaszcza w tym wypadku nabrałam co do tego pewności. Pułkownik bardzo się interesował, czy ów rzekomy porucznik Sochnowski nie miał akcentu rosyjskiego. Zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że mówił najczystszą polszczyzną. Obaj panowie robili mi wyrzuty, że postąpiłam lekkomyślnie, wydając

kopertę bez sprawdzenia dokumentów człowieka, który się zgłosił.

To było oburzające. I dałam im to do zrozumienia. Więc jak to? Najpierw mąż mi telefonuje z Paryża, że zjawi się porucznik taki i taki, adiutant takiego i takiego pułkownika po taki i taki przedmiot. Potem zjawia się pan w mundurze, nawet z jakimiś orderami, w dodatku przystojny i doskonale ułożony, przedstawia się i żąda tego przedmiotu. Jakże miałam postąpić? Przecież to zabawne, bym miała domagać się jakichś papierów lub legitymować. Nie jestem policjantem. Na myśl mi nie mogło przyjść, by miało w tym tkwić jakieś oszustwo. Bo i skąd wiedziałby ktoś obcy, że Jacek do mnie telefonował i jakie wydał polecenie?

Pułkownik bardzo się śmiał z tych moich dowodów i wyjaśnił, że w hotelu, z którego telefonował Jacek w Paryżu, już znaleziono wczoraj linię podsłuchową, dzięki której szpiedzy wiedzieli o poleceniu i natychmiast swoim warszawskim agentom kazali zdobyć kopertę.

To okropne. Ścierpła mi skóra na myśl, że i moje rozmowy z Totem czy Robertem też mogą być przez kogoś podsłuchane. Natychmiast po powrocie do Warszawy wynajmę takiego elektrotechnika od telefonów, by rozkręcił nasz aparat i sprawdził, czy tam nie ma jakiejś linii. To jest bardzo możliwe. Jacek wprawdzie nigdy przez telefon o sprawach politycznych z nikim nie rozmawia, ale szpiedzy mogą myśleć inaczej.

To jest ohydne, ta instytucja szpiegów. Po prostu pojąć nie

mogę, co oni sobie upatrzyli do Polski. Czemu inne państwa nasyłają nam wciąż tych szpiegów? Dlaczego są wszystkiego, co się u nas dzieje, tak ciekawe? Dlaczego my nie zajmujemy się ich sprawami i nie wysyłamy nikogo, by ich podpatrywał, a oni nam spokoju nie dają. Rozumiałabym jeszcze, gdyby ci szpiedzy załatwiali swoje sprawy z mężczyznami. Ale to bardzo nie po dżentelmeńsku wplątywać nagle kobietę z towarzystwa w swoje brudne afery.

Pułkownik zapowiedział mi, że będę jeszcze wezwana, by rozpoznać wśród wielu fotografii tego fałszywego porucznika. Tego jeszcze brakuje, bym traciła czas na różne głupstwa.

Zapytałam, w jaki sposób wyszło na jaw, że oddałam tę kopertę. Pułkownik mi wyjaśnił, że już u mnie w domu przeprowadzono dochodzenie. Badano ciotkę Magdalenę i służbę. Na zakończenie zaczął dopytywać się, kim jest ten starszy przystojny pan, który podawał się za pośrednika sprzedaży placów.

Tu już opanowała mnie wściekłość. Z trudem pohamowałam się, by nie wybuchnąć. Ta głupia ciotka znowu nawarzyła mi piwa. Gotowi jeszcze posądzić stryja Albina, że jest pomocnikiem szpiegów. To niesłychane, co ta baba wyprawia! Tak czy owak skończy się sprawa Jacka, ale po jej skończeniu postawię mu warunek: albo odeśle ciotkę na wieś, albo ja z nim zrywam. (Oczywiście o prawdziwym zerwaniu nie myślałam ani na chwilę, ale mogę go przecież nastraszyć).

Powiedziałam tym panom, że był to prawdziwy pośrednik i

że widziałam go wszystkiego dwa razy w życiu. Wtedy zaczęli dopytywać się, czy nie rozmawiał ze mną o Jacku i o jego podróży. Zapewniłam, że nie, ale wydaje mi się, że nie bardzo ich przekonałam i że będą się starali odszukać stryja Albina. By ich trochę ułagodzić, zaprosiłam ich na obiad, lecz wymówili się pilnymi sprawami i wyjechali.

Długo nie mogłam przyjść do siebie, a wieczorem przyszła depesza z Warszawy od – Jacka.

Okazało się, że w związku z tą głupią kopertą wezwano go i przyleciał aeroplanem na kilka godzin i że zaraz wieczorem musi wracać do Paryża. Był widocznie tak zaabsorbowany sprawą szpiegów, że zapomniał nawet zapytać w depeszy o zdrowie ojca. Widziałam, jaką to przykrość ojcu sprawiło.

Byłam w fatalnym położeniu, bo o wyjeździe z Hołdowa nie mogło być mowy, a tymczasem Jacek na pewno znajdzie dość wolnego czasu, by się zobaczyć z tą swoją wydrą. Bóg jeden wie, co mogą sobie uradzić.

Natychmiast po otrzymaniu depeszy wysłałam po niego samochód i napisałam, że stan ojca jest fatalny i że koniecznie musi przyjechać bodaj na pół godziny. Przed wieczorem jednak szofer wrócił z niczym, a raczej z kartką od Jacka, że absolutnie wyrwać się z Warszawy nie może.

Te wszystkie historie tak wytrąciły mnie z równowagi, że na noc musiałam wziąć brom, chociaż wiem, jak bardzo mi szkodzi na cerę. W dodatku pod prawym uchem zrobił mi się pryszcz. A ta roztrzepana Waleria rozlała lakier do paznokci i moje ręce

wyglądają fatalnie. Jeszcze nigdy nie przeżywałam tak złej passy. Wszystko przeciwko mnie się sprzysięгло.

Na szczęście dziś rano przyjechała Danka i mogłam natychmiast wrócić do Warszawy. Z ciotką przywitałam się w sposób aż nader wymowny. Zdawkowy uśmiech i sztywne podanie ręki. By jeszcze dobitniej zaakcentować, że ja tu jestem panią, kazałam pootwierać wszystkie okna w jadalni, w salonie, w szafirowym i w kredensie. To zupełnie uniemożliwiło tej jędzy cyrkulowanie po domu. Inna rzecz, że zrobiło się okropnie zimno. Na szczęście musiałam zaraz wyjść, by zobaczyć się ze stryjem.

Tak jak i przewidywałam, nie zastałam go w domu. Nie mając innego wyboru, usiadłam przy oknie w małej obrzydliwej mleczarence naprzeciw jego domu i czekałam, popijając herbatę. Oprócz mnie i pochrzäkającej za ladą właścicielki był tylko jakiś bardzo znudzony jegomość o nieciekawym wyglądzie. Nie zwróciłabym nań w ogóle uwagi, gdyby nie to, że jego sposób jedzenia i zachowania się drażnił w najwyższym stopniu. Najpierw pochłonał olbrzymi talerz jajecznicy, a później ohydnie dłuhał w zębach, drugą ręką zasłaniając jamę ustną. Przy tym bezmyślnie gapił się w okno z taką miną, jakby zaraz miał się rozpłakać. Nie rozumiem, po co tacy ludzie egzystują na świecie.

Była już czwarta, gdy zobaczyłam stryja. Zajechał taksówką i zniknął w bramie. Natychmiast uregulowałam rachunek i wyszłam. Stryja dopędziłam, gdy otwierał drzwi.

Powitał mnie jak zawsze komplementami. Był w świetnym

nastroju i to już nieco mnie uspokoiło.

– Czy ma stryjasek coś nowego? – zapytałam pełna nadziei.
Poprawił monokl i zrobił do mnie oko.

– A jeżeli dobry stryjasek ma dużo, bardzo dużo nowin, to co za to dostanie?

– Uściskam stryjaskę, zwłaszcza w tym wypadku, jeżeli nowiny będą tak dobre, jak on sam.

– Wyśmienite, ale honorarium inkasuję z góry.

To powiedziawszy objął mnie i pocałował w usta. Chociaż było to całkiem niespodziewane, wcale nie mogę powiedzieć, by było przykre. Ci starsi panowie mają jednak swoją klasę w stosunku do kobiet i umieją pozwolić sobie nawet na bardzo śmiałe gesty w sposób jakiś naturalny i ujmujący.

– Czy wiesz, skąd wracam? – zapytał przysuwając mi fotel.

– Skądże mogę wiedzieć.

– Otóż byłem na uroczym spacerze, na przeuroczym spacerze z pewną czarującą damą. Rzadko która dziewczyna ma tyle wdzięku. A w dodatku inteligencja! Nieprzeciętna, nic nie przesadzę, gdy powiem, że nieprzeciętna. Jak na Angielkę zwłaszcza. Bo ze smutkiem muszę ci wyznać, że dotychczasowe doświadczenia nie wyrobiły we mnie zbyt wygórowanego mniemania o inteligencji Angielek.

Serce zaczęło mi mocno walić w piersi:

– Stryju – szepnęłam – stryj ją poznał?

Zrobił zdziwioną minę.

– Tę panią, z którą byłem na przechadzce?... Ależ oczywiście,

moja mała. Czy wyobrażasz sobie, że damy, których towarzystwa szukam, mogą należeć do kategorii kobiet spacerujących z nieznanymi panami?

– Niechże stryj mnie nie męczy – jęknęłam żałościwie. – Czy ta pani to ona?

– Nie wiem, kogo masz na myśli, ale nie potrzebuję z tego robić żadnej tajemnicy. Angielka owa nosi dźwięczne imię Elisabeth i używa nazwiska Normann.

– Ach, mój Boże! I jakże stryj ją poznał? Jaka ona jest? Co mówiła? Czy nie wspomniała o Jacku?

– Zaczekaj, mała – uśmiechnął się. – Najpierw ustalmy chronologię i hierarchię twoich pytań. Więc przede wszystkim jesteśmy z nią jeszcze (mam nadzieję, że wolno mi użyć pocieszającego słówka „jeszcze”), jesteśmy z nią jeszcze na stopie bardzo oficjalnej. Jak się pani podoba Warszawa?... Czy pani dużo podróżuje? I tak dalej w tym guście. Toteż na jakieś wspomnienie o Jacku co najmniej za wcześnie. Chociaż nastroczała się do tego wspaniała i całkiem niespodziewana okazja. Czy ty wiesz, że Jacek jest w Warszawie?

– Jak to jest? – zaniepokoiłam się poważnie.

– Najzwyczajniej w świecie. Widziałem go przedwczoraj na własne oczy, gdy wsiadał w „Bristolu” do windy i następnie, gdy z tejże windy wysiadał wraz z miss Elisabeth Normann.

– Więc widział się z nią!

– Sądzę, że dość dokładnie, i mam prawo przypuszczać, że nie odmawia sobie tej przyjemności w dalszym ciągu.

– Myli się stryj – odpowiedziałam trochę zirytowana. – Jacek bawił w Warszawie dosłownie kilka godzin. Wezwano go z Paryża w sprawie jakichś dokumentów i musiał tegoż wieczora wracać. Z całą pewnością wiem, że wyjechał.

– Mniejsza o to – zgodził się stryj Albin. – W każdym razie widział się z nią.

Z wielkim trudem zdobyłam się na pytanie:

– A czy... czy długo był u niej?...

Stryj niedelikatnie zaśmiał się.

– Ach, o to ci chodzi! No, jakby ci to określić? Zabawił w jej pokoju coś około godziny. Znając go lepiej ode mnie, łatwiej wysnujesz z tego jakieś wnioski.

Spojrzałam nań prawie ze złością. Cieszył się, najwyraźniej cieszył się moim niepokojem. Widocznie wyobrażał sobie, że jestem zazdrosna. Wcale nie jestem, ale to przecie nie należy do przyjemności, gdy mąż na całą godzinę zamyka się w numerze hotelowym z jakąś rudą przybłądą!

– Znowu się stryj myli! – powiedziałam chłodno. – Wiem doskonale, że Jacka z nią nie może już nic łączyć...

– W najmniejszym stopniu nie zamierzam podważać twojej wiary w obyczaje małżonka – wtrącił z powagą zakrawającą na szyderstwo.

– Bo nic jej nie zdoła podważyć – zaakcentowałam, lecz na wszelki wypadek, ostrożnie, by stryj tego nie dostrzegł, trzy razy stuknęłam palcem w drzewo.

– Tym lepiej – skinął głową. – Zresztą i ja w danym

przynajmniej wypadku nie żywiłem żadnych podejrzeń. Jacek wychodząc z nią był blady, zły i widocznie z trudem panował nad sobą. Robiło to takie wrażenie, jakby mieli wcale nie zanadto przyjemną rozmowę.

– Tylko nie rozumiem, dlaczego – zauważyłam – odbywali tę rozmowę w numerze, a nie w hallu czy w restauracji.

– To mnie wcale nie dziwi – wzruszył ramionami stryj. – Domyślamy się, co było tematem ich rozmowy, a takie tematy, przyznasz, nie lubią narażać się na podsłuchiwanie, chociażby ze strony służby czy przygodnych sąsiadów. Jeżeli o mnie chodzi, bynajmniej nie zmartwiłem się ich spotkaniem.

– Dlaczego?

– Dlatego, moja mała, że przy nadarzającej się sposobności zapytam ją o Jacka.

– Powie stryj, że go zna?

– Ależ uchowaj Boże! Powiem, że widziałem ją w towarzystwie młodego dżentelmena, którego czasami spotykam. I postaram się z niej wydobyć, co o nim sądzi. W ten sposób nawiązać będzie można rozmowę na interesujący temat. Ponieważ zaś dam uroczej Betty do zrozumienia, że moja ciekawość ma podłoże zazdrości, w niedyskretnych pytaniach będę się mógł posunąć dość daleko.

Omówiliśmy te sprawy jak najszczegółowiej. Gdy już wychodziłam, stryj mnie zatrzymał.

– Aha, moja mała. Pozwól, że ci zwrócę z podziękowaniem pożyczkę. Oto tysiąc złotych.

Wcale tego się nie spodziewałam i próbowałam oponować.

– Ależ, stryju, mnie wcale nie są potrzebne teraz pieniądze. To wcale nie jest rzecz pilna...

– Nie, nie – upierał się. – Najpilniejsza. Gdyby nie to, że na recepisie nadawczym trzeba podać nazwisko wysyłającego, przekazałbym ci te pieniądze pocztą do Hołdowa.

– Musiało się stryjowi ostatnio powodzić – zauważyłam chowając banknoty do torebki.

– Tak, kochanie. Widocznie tylko twoja obecność w Warszawie przynosi szczęście w grze Totowi. Obębniłem go na wcale okrągłą sumkę. Jego i jego przyjaciół. To są nader pocziwi ludzie.

Teraz dopiero przypomniałam sobie Tota. Aż sama się zdziwiłam, że mogłam o nim na tak długo zapomnieć. W istocie należało nad tym głębiej się zastanowić. Właściwie mówiąc Toto jest nudny. O czym z nim można rozmawiać?... Interesuje się sprawami, które mnie w gruncie rzeczy nic nie obchodzą. Zabawny bywa tylko wtedy, gdy udaje obojętną, zamyśloną czy zajętą kimś innym. Wtedy umie się zdobyć na żywsze odruchy. Jeden ma walor niezaprzeczony: gest. Przed rokiem, gdyśmy z Jackiem byli w Taorminie i napisałam do Tota, że tęsknię za Bloomsem (wówczas żył jeszcze mój kochany Blooms), Toto w przeciągu jednego dnia wziął paszport, wizy i przywiózł mi samolotem Bloomsa. On, który tak nie lubi psa nawet w samochodzie! Wieźć go z Warszawy aż na Sycylię. I nie zapomniał o rurkach z kremem. Tak, on stanowczo ma swoje

zalety. Ale nie potrzebuję ukrywać tego przed sobą, że już mi się trochę znudził. Wówczas w Taorminie zaimponował nawet Jackowi, który ostatecznie przyzwyczajony jest do objawów adoracji dla mnie ze strony wielu mężczyzn. Pamiętam, że powiedział mi wówczas:

– Myślałem, że on ci tylko nadskakuje, ale zdaje mi się teraz, że to musi być jakieś poważniejsze uczucie. Nie posądzałem go o zdolność do przeżywania uczuć poważniejszych.

Odpowiedziałam mu krótko:

– Ja go i nadal nie posądzam.

To uspokoiło Jacka. Z powagą pocałował mnie w rękę, mówiąc:

– Zawsze wierzyłem w twój instynkt i w twój dobry gust.

Ponieważ Toto wieczorem wyjechał z powrotem do Warszawy, więcej już o tym nie mówiliśmy. To był gest. Co prawda z Bloomsem w drodze powrotnej miałam moc kłopotu. Zginął nam w Neapolu i Jacek musiał go przez cały dzień szukać. W rezultacie spóźniliśmy się na pociąg. W Wenecji skoczył biedaczek do wody za jakąś mewą, a ponieważ zbliżał się właśnie *vaporetto*³¹ i bałam się, że go przejedzie, Jacek i jeden pan z tamtejszego konsulatu wskoczyli do kanału na jego ratunek.

To było bardzo rycerskie z ich strony. Przykro mi było tylko, że na brzegu zebrał się tłum głupio roześmianych ludzi. Co prawda obaj wyglądali rzeczywiście dość śmiesznie w

³¹ *vaporetto* – tramwaj wodny w Wenecji (początkowo z napędem parowym, stąd nazwa). [przypis edytorski]

ociekających wodą ubraniach. Wszystko się skończyło pomyślnie i cała podróż łącznie z kłopotami, narobionymi przez Bloomsa, zostawiłaby mi najmiłsze wspomnienia, gdyby nie zły humor Jacka. Nic mi wprawdzie nie powiedział, ale domyślałam się, że znowu zaczęła go trapić zazdrość o Tota. Z tego powodu nawet dla Bloomsa nabrał niechęci, a gdy Toto spotkał nas na dworcu w Warszawie, przywitał się z nim z taką oziębłą uprzejmością, że Toto był nawet trochę wystraszony.

Układałam sobie, że wcale go nie zawiadomię o swoim przyjeździe z Hołdowa. Niestety, spotkała mnie przykra niespodzianka: gdy zadzwoniłam do Roberta, telefon odebrała pokojówka i poinformowała mnie, że pan od dwóch dni jest poza Warszawą. Zdaje się, że we Lwowie, ale ona na pewno nie wie. Nie wiedziała również, kiedy wróci. Ponieważ wieczór miałam wolny, poszliśmy z Totem na kolację. A później z większym towarzystwem do niego na kieliszek szampana.

Już późną nocą zjawił się Władek Brzeski i przyprowadził ze sobą dwie tancerki, które kiedyś występowały w „Adrii”, młode i ładne Węgierki, bardzo zabawne. Zademonstrowały nam kilka tańców, takich oczywiście, których nie można pokazywać w lokalach publicznych. Było to porządnie nieprzyzwoite, ale bardzo interesujące. Tula upiła się nieludzko. Uparła się, że ze starszą z tych dziewcząt zatańczy to samo. Oczywiście wyszedł z tego koszmar. Panowie pękali ze śmiechu.

Przyznam się, że miałam wielką ochotę również zaryzykować, ale miałam tremę, a poza tym po nieudanej próbie Tuli

towarzystwo już było zbyt rozbawione. Rozmawiałam dużo z tymi Węgierkami. Swoją drogą ich rodzaj życia jest niesłychanie barwny i urozmaicony. Znają już cały świat bez mała. Tańczyły w Tokio i w Bombaju, w Melbourne i w Ottawie, w Limie i Bóg wie gdzie. Poznają tylu interesujących mężczyzn, wciąż nowych. Dla jednej z nich zastrzelił się pewien farmer na Filipinach. Młodszą porwał w Szanghaju jakiś koreański milioner, który się w niej zakochał. Obie są mniej więcej w moim wieku, a tyle już zdążyły przeżyć. W dodatku pochodzą z bardzo przyzwoitej rodziny węgierskiej. Mówiły mi nazwisko, ale już nie pamiętam. Ich ojciec był nawet ministrem. Co prawda Toto wyśmiewał mnie, że w to wierzę, ale dlaczego nie mam wierzyć. Są doskonale ułożone i bardzo rasowe.

Na drogę kabaretu pchnęło je bankructwo i ruina materialna. Miały wówczas jedna szesnaście, a druga osiemnaście lat. Pomyślałam wówczas, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby na przykład moi rodzice umarli i stracili majątek. Naturalnie zaopiekowałaby się mną rodzina, ale mogłoby się zdarzyć, że stałoby się inaczej. Może musiałabym sama zarabiać na chleb. Wówczas oczywiście tysiąc razy wolałabym tańczyć, niż siedzieć w jakimś nudnym biurze i przepisywać papiery czy na przykład zostać nauczycielką. Od jak drobnych okoliczności zależy cała przyszłość człowieka!

Za dużo piłam kawy tego wieczora i niełatwo mi będzie zasnąć. Na dworze jeszcze zupełnie ciemno, chociaż to już szósta rano. Zostawiłam w jadalni kartkę, by w żadnym wypadku nie

budzono mnie przed pierwszą, ale obawiam się, że ta jędrza będzie umyślnie trzaskała drzwiami. Stanowczo muszę zażądać od Jacka, by wymyślił jakiś pretekst i babę wyprawił na wieś.

Już wolę sama zajmować się gospodarstwem, chociaż okropnie to mnie męczy. Ciotka z tego tytułu, że wyda parę dyspozycji służbie i zadzwoni do kilku sklepów, uważa, że jest przepracowana. To nie jest żadna praca. Jadwiga sama potrafiłaby załatwić wszystko. Ostatecznie można wziąć jakąś gospodynię. Za kilkadziesiąt złotych będę miała to samo bez perspektywy plotek i ciągłego wtrącania się do mego prywatnego życia. Trzeba się będzie nad tym zastanowić.

Środa

Robert jeszcze nie wrócił. Tacy są mężczyźni. Uważa, że może wyjechać nawet nie zawiadamiając mnie, dokąd i na jak długo. Co prawda nie było mnie w Warszawie, a obiecał, że nie będzie się dowiadywał o mój adres. Może nawet telefonował, lecz usłyszawszy obcy głos odłożył słuchawkę. Sama go o to prosiłam. Ale gdyby chciał, mógłby przecież wymyślić jakiś sposób. I później od nas żądają wierności!

Zrobiłam dzisiaj ciotce kawę. Zaprosiłam te Węgierki, Tota i Leszka Chomińskiego. Ponieważ ciotka nie zna angielskiego ani niemieckiego, a rozmawialiśmy w tych dwóch językach, czuła się fatalnie. Już przedtem umówiłam się z Leszkiem i z Totem, że przedstawimy te dziewczyny jako panie z dyplomacji, z najwyższego *high life'u* budapeszteńskiego.

Uwierzyła! Stroiła takie miny, jak na dworskim przyjęciu w Buckingham. Robiliśmy poważne miny, ale w duszy pękaliśmy ze śmiechu. Początkowo miałam zamiar poprosić Węgierki, by na zakończenie tego etykietalnego przyjęcia zademonstrowały nam swój wczorajszy taniec. To by była bomba. Ciotkę trafiłaby apopleksja! Korciło mnie nieludzko, ale Leszek za nic nie chciał się zgodzić i może miał słuszość.

Wezwano mnie na jutro do pułkownika Korczyńskiego. Znowu mnie będą męczyć. Miałam też w związku z tym nową przykrość. Spotkałam Władka Morskiego, który przyjechał na

urlop z Rzymu. Nie przypuszczając, że to coś tak ważnego, opowiedziałam mu o swoich przykrościach w związku z tą obrzydliwą żółtą kopertą, która mi zatruwa życie. Ten głupi gaduła musiał oczywiście wygadać się z tym w ministerstwie czy gdzieś indziej, gdyż już w dwie godziny później zjawił się u mnie porucznik Sochnowski (ten prawdziwy) i zaczął mi robić wyrzuty, że mówię z ludźmi o tej sprawie. Powiedział, że to jest niesłychanie ważne, by cała afera została w tajemnicy, ze względu na jakieś tam ich kombinacje. Był prawie nieuprzejmy. Toteż odpowiedziałam mu chłodno:

– Nic mnie to nie obchodzi. I nie rozumiem, dlaczego panowie wplątali mnie w tę przykrą aferę.

– Przyznaję pani, że jest przykra, i w imieniu pana pułkownika najusilniej proszę, by nikogo o niej pani nie informowała.

Zabawne. Ja kogoś informuję. Rzecz zasługuje na wzruszenie ramion i tyle. Znacznie gorsze jest to, że nieobecność Roberta zmusza mnie do częstszego widywania się z Totem, Mój Boże! Żeby już prędzej wrócił Jacek.

A Roberta tak ukarzę, że w ogóle się do niego nie odezwę. Gdy przyjedzie i do mnie zadzwoni, co najmniej trzy dni poczeka na spotkanie.

Od stryja znowu żadnych wiadomości. Byłoby rzeczą komiczną, gdyby ta ruda Angielka ucięła sobie z nim romans. To jest bardzo prawdopodobne. Nawet chciałabym tego przez wzgląd na Jacka. Niech naocznie przekona się, co to za kobieta.

Przyjechała niby do niego, a korzysta z pierwszej sposobności, by uwodzić, i to kogo, stryja jego żony. Oczywiście nie byłoby to najważniejsze, ale jeżeli dałoby się jakoś zaaranżować, przyłapanie ich na gorącym uczynku nie zaszkodziłoby na pewno. Tylko wątpię, czy stryj Albin na to się zgodzi. Mężczyźni lubią dużo mówić o swojej ofiarności, gdy jednak mają okazję dać jej dowód, zasłaniają się jakimiś nieistotnymi pretekstami. Pełne mają usta wówczas takich słów, jak honor, dane słowo, godność osobista i tak dalej.

Spotkałam na Krakowskim Halszkę. Szła z Pawłem i z mężem. Początkowo chciałam udać, że jej nie widzę, ale spostrzegłam, że ma nową wspaniałą torebkę ze skóry jakiegoś węża. Nie widziałam jeszcze takiej i musiałam ją zapytać, gdzie to dostała.

Gdyby była sama, oczywiście nie powiedziałaby mi prawdy. Ona jest taka zazdrosna o swoje rzeczy, i to wszystko dlatego, że ja jej nie mówię, skąd sprowadzam swoje pantofle. Wolno mi przecież mieć chociaż coś oryginalnego. Trudno chodzić w rzeczach obnoszonych przez wszystkie panie. Teraz jednakże, ponieważ przy panach nie mogła mnie okłamać, musiała powiedzieć, że kupiła ją u „Madame Josette”.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.